

TOMASZ KOŁODZIEJCZAK

Piękna i graf

1.

Na soggotha najlepszy jest miedziany hak. Długi i wąski, taki, żeby wszedł w głąb ciała, przebił jednocześnie oba serca i mózg. Koniecznie poświęcony, żeby soggoth nie mógł się obronić. Najlepiej „Made in Poland”. Tam na wschodzie, za wielką rzeką, robią najlepsze haki. Wszystko tam robią najlepsze.

Geograf przywłókł soggotha wczesnym południem, gdy większość ludzi pracowała w polu. Stał na skrzyżowaniu dróg w środku wsi, między gospodą a wieżą świetlnego telegrafu. Magicznym słowem docisnął swego więźnia do ziemi i gromkim głosem wywołał policjanta Jana Macieszcza. Stwór wił się i jęczał, błagał o litość, obiecywał zdradę swych dotychczasowych panów, wierną służbę królowi i hojne nagrody, ale chłopci z Karbusowa wiedzieli swoje. Ktoś polecał po sołtysa, żeby wydał prawomocny wyrok. Inny po rzeźnika, bo ten trzymał w domu dobry miedziany hak. Jeszcze ktoś po dzieciaki – żeby wszystko obejrzały sobie dokładnie. Na przyszłość. Ku nauce i przestrodze.

Przyszła też i Kręczelewska, matka Jakuba, by popatrzeć na swego syna, który zmienił się w potwora. Poznała go, a jakże, po włosach i bliźnie na policzku po przebytej w dzieciństwie ospie. I chyba tylko po tym, bo twarz chłopaka zdążyła się już przekształcić w straszliwą maskę. Kobieta zaczęła płakać, coś chyba krzyczała do syna. Nawet zwrócił na nią uwagę, spojrzał w jej stronę, powąchał, rozdymając nozdrza, przewiercił jedynym szklistoczarowym okiem. Zasyczał, wywinął wargi, odsłaniając kły jadowe. Tego nie wytrzymała. Ze szlochem rzuciła się w stronę soggotha i gdyby nie powstrzymały jej silne ręce mężczyzny, pewnie i przypadłaby do niego, chcąc przytulić i pogłodzić. A wtedy by ją zabił. W porę przyjaciółki wyprowadziły kobietę z kręgu, kreśląc cały czas na piersiach znaki krzyża, szczęśliwe, że to nie ich dzieci przeszły na służbę barlogów.

Geograf nie zwracał uwagi na to zamieszanie i czekał cierpliwie. Wcześniej złamał soggothowi nogi, żeby nie uciekł, i potrzaskał palce u wszystkich rąk, żeby nie mógł złożyć dłońmi żadnych zaklęć. Zaciągnął też niewidzialny arkan na jego głowie, do krwi wpijający się w czaszkę i miażdżący policzki.

Geograf ubrany był na zielono – kameleoni mundur, jakiego na co dzień używali polscy komandosi, przykrył elfim płaszczem. Na szyi nosił mały amulet, zawieszony na mithrylowym łańcuszku. W olstrze na prawym udzie mężczyzny tkwił szybkostrzelny peem, przy prawym boku kołysała się zdobiona bursztynem pochwa miecza. Twarz miał młodą, bez zarostu, wręcz dziecięcą. A jednak zmarszczki w kącikach ust, czujne spojrzenie, subtelne wzory elfich tatuaży ochronnych na policzkach sprawiały, że nikt z odrobiną oleju w głowie nie wzięłby tego mężczyzny za nieopierzonego młodzieńca.

– Witaj, panie. – Chłopi rozstąpili się, przepuszczając sołtysa. – Widzę, że przyprowadziłeś nam zgubę.

– Witaj, Jerzy. Dobrze trafiłem? – geograf mówił cicho i spokojnie, ale gdzieś na dnie każdego wypowiedzanego słowa słychać było napięcie i wysiłek. Wszak cały czas kontrolował magię soggotha, neutralizował jej siłę.

– Tak, to nasz chłopak, matka go poznała. Straszna, straszna sprawa. Nie wiemy, kiedy przeszedł na ich stronę, nie wiemy, od kiedy jest przekształcony.

– Kiedy ostatni raz ktoś od was z nim gadał?

– Ze dwa dni temu normalnie chodził po wsi, zboże zbierał. W imię Ojca i Syna, normalnie nam po wsi chodził... – sołtys powtórzył przerażony, jakby teraz dopiero do niego dotarło, w jakim niebezpieczeństwie znalazł się on sam i cała osada. Kiedy się przeżegnał, soggoth jęknął cicho i szarpnął się. Geograf spojrzał na niego, zacisnął wirtualny arkan, tak że niewidzialne pęto na dobre przecięło oko soggotha. Bryznęła lepka maź, a potwór padł na ziemię nieprzytomny. Jego cztery ręce spazmatycznie drżały, pazurzaste stopy darły stary asfalt.

– Przyłapałem go w czasie rytuałów. Chyba zabił kogoś, bo miał ciało. Nikt wam nie zginął we wsi?

– Nie, nie ostatnio. Może porwał kogoś z Zagranicza, przecież oni swoich też mordują.

– Możliwe, możliwe... – zamyślił się. – No dobra, czasu szkoda. Macie narzędzia?

– A jakże, mamy, panie – odpowiedział sołtys, stropił się, zamilkł. Po chwili cichszym, niepewnym głosem dodał: – Ale nie możemy go teraz zabić, panie. Dostaliśmy rozkaz z garnizonu. Wszystkie złapane soggothy trzeba tam żywcem dostarczyć. To może go tylko nakłujesz?

Sołtys ostatnie słowa wypowiadał zupełnie już cicho, stropiony spojrzeniem geografa. Rozkaz to rozkaz. Wojsko trzyma komendę na pograniczu, pilnuje dróg, podsyła żywność na przednówek i lekarzy dwa razy do roku. Więc jasne było, że polecenie trzeba spełnić. Tylko czemu to on osobiście miał o tym informować tego strasznego, uzbrojonego, władającego potężną magią człowieka? Człowieka, który prowadząc swobodną rozmowę, cały czas siłą umysłu kontroluje soggotha – bestię, wyrodka, sługę czarnych jegrów. Człowieka – o czym sołtys doskonale wiedział – niespecjalnie lubiącego kontakty z regularną armią. I z wzajemnością.

– Panie – kontynuował sołtys – ja już musiałem wydać polecenia.

Odruchowo zerknął w górę, za plecy geografa. Mężczyzna też spojrzął za siebie. Na wieży sygnalizacyjnej właśnie zapłonęło małe ognisko i wioskowy policjant rozpoczął nadawanie komunikatu.

– Jeśli patrol jest w naszym powiecie, to będą tu jeszcze dzisiaj. Panie, do tego czasu musisz nam utrzymać soggotha, sami nie damy rady.

2.

Mały konwój dotarł do stancyi Korniejewo tuż po wschodzie słońca. Ledwie purpurowy blask rozświetlił okolicę, a już zaktywizowały się dzienne systemy obronne bazy. Pierwsze obudziły się szpaki, cały ich rój sfrunął z okolicznych drzew, zakołował nad głowami konnych i pomknął ku stancyi. Kilka minut później orszak minął stojące po obu stronach drogi menhiry. Pomiędzy głązy pierwszy wjechał dowódca żołnierzy, elf w stopniu rotmistrza. W jego śnieżnobiałych włosach zatańczył blask nanokadabr – to brama przeskanowała przybysza i otworzyła się. Potem przejechali przez nią dwaj kawalerzyści, zaprzęg ciągnący wóz z miedzianą, przypominającą trumnę skrzynią, dalej kolejni czterej żołnierze. Na końcu bramę przekroczył piechur, ubrany na zielono mężczyzna. Kiedy znalazł się między menhirami poczuł mrowienie na dłoniach i policzkach. Delikatne, niemal pieszczotliwe, niczym muśnięcia kociej sierści.

Odruchowo wyszeptał ochronne zaklęcie, jakby chciał sprawić, by menhiry na pewno właściwie go zeskanowały. Zbyt często dotykał złych istot i ich ślady na pewno pozostały w jego aurze.

Wkrótce zobaczyli pierwsze linie bunkrów i lufy cekaemów, a na ich powitanie z zamaskowanej przydrożnej strażnicy wyszło trzech żołnierzy. Luźno stanęli na środku drogi i poczekali, aż konwój podjedzie bliżej. Ich dowódca zaszalutował niedbale rotmistrzowi, ten odpowiedział równie nieregulaminowym gestem.

– Cześć, Henryk – powiedział elf, zsuwając się z siodła. – Dobrze widzieć cię znowu!

– Witaj, Gardanie! – Dowódca straży uśmiechnął się szeroko. – I ja się cieszę, że przyjechałeś!

Uścisnęli sobie dłonie, pokleпали po ramionach, wymienili kilka uwag o twardych siodłach, o tegorocznej pogodzie i o żarciu w dalekich stanicach (a o wszystkich tych sprawach mieli wspólną opinię, której nie chcieliby słuchać wojskowi rymarze, meteoronomi i intendenci). Potem nieco ściszyli głosy, Henryk zadał kilka krótkich pytań, elf odpowiedział, raz tylko odwracając się w stronę mosiężnej skrzyni i zielonego piechura. Pokiwali głowami, pomruczeli coś jeszcze, znów uścisnęli dłonie. Gardan wspiął się na siodło i orszak ruszył w dalszą drogę.

Wkrótce dotarli na centralny plac stancyi Korniejewo. Kwadratowy, wyłożony brukiem dziedziniec otaczały niskie betonowe budynki. Zachodnią ścianę tworzył front modernromańskiego kościoła, jak przed tysiącleciem zbudowanego tak, by mógł pełnić funkcje i sakralne, i obronne. W małe okna domów wprawiono gęste siatki mające chronić przed złowadami, a całe ściany pieczołowicie wysprajowano w zabezpieczające motywy. Na dachach usytuowano stanowiska ogniowe, mogące pokryć przedpole stancyi, ale też ostrzeliwać się w czasie ataku z powietrza. Precyzyjnie ustalone wymiary budynków i placu, kąty nachylenia ścian i wielkość okien dobrano zgodnie z wszelkimi zasadami sztuki wojennego feng shui, tak by tworzyły optymalny czakram defensywny. Według tychże zasad loch zbudowano w północnym budynku i tam właśnie skierował się wóz z miedzianą trumną i przewożonym w środku soggothem. Ochronę transportu przejęli już miejscowi żołnierze, więc Gardan wydał krótkie rozkazy swoim ludziom i rozpuścił ich na kwatery. Sam skierował konia ku stojącemu nieruchomo na środku placu geografowi.

– No i popatrz, udało się. Soggoth nie wyrwał się z więzów, nikt nas nie napadł, puszcza nas nie pożarła. Niepotrzebnie się obawiałeś.

– Czemu go tu sprowadziłeś, Gardan? On już zakłóca menhipole. Osłabia was. Trzeba go było zabić od razu. Nie czujesz tego? – Geograf machnął ręką, jakby chciał zerwać niewidzialną zasłonę. Przez moment ślad jego dłoni zawisł w powietrzu ciemnozieloną smugą, dała się wyczuć delikatna, ale nieprzyjemna woń.

Koń elfa parsknął, nerwowo przestąpił z nogi na nogę, podkowy mocno uderzyły o bruk.

– Ciii, ciii. – Gardan uspokajająco poklepał wierzchowca po szyi. Pochylił się ku mężczyźnie. – Tak, czuć to nawet tu.

– Więc po co?

– Takie mamy rozkazy, już ci mówiłem. Mam dostarczyć do twierdzy każdego schwytanego przekształconego człowieka. Jegra, soggotha, wandala. Każdego. I nic więcej ode mnie nie usłyszysz. Idź, odbierz swoją nagrodę i wracaj do lasu, geografie. Tam jest twoje miejsce.

– Odbiorę, kiedy będę chciał, i odejdę, jeśli będę miał taką ochotę.

Elf nic już na to nie powiedział. Dwukrotnie objechał koniem stojącego w bezruchu człowieka, po czym skierował się do dowództwa garnizonu.

Geograf jeszcze chwilę stał na placu, nie przejmując się zaciekawionymi spojrzeniami mijających go ludzi. Teraz musiał odebrać nagrodę i wynająć kwatery.

Wciąż zdawało mu się, że wdycha mdłą, nieprzyjemną woń zakłóconej aury. W jednym z najlepiej chronionych i najbezpieczniejszych miejsc na zachód od Odry wciąż wyczuwał smród barlogów i ich sług. Tak silny, że nie mógł pochodzić od jednego soggotha.

3.

Podobno świat się zmienia, wszystko płynie, a entropia pożera rzeczywistość. Jednak są miejsca i byty, które wyłamują się z tych reguł.

Bez wątplenia należy do nich stary Ulrich Schroeder. Ilekroć Kajetan odwiedzał Korniejewo, stary Bawar zawsze siedział w tym samym fotelu, przy tym samym stole, w tym samym kącie kantyny, być może nawet nad tym samym kuflem piwa. Ulrich był kompletnie łysy, a skórę jego twarzy i czaszki znaczyły ślady dawnych przygód – szramy, blizny po przypaleniach, zneutralizowane bojowe tatuaże. Ulrich dawno temu, jako podrostek, walczył w Grenzschutzu, bawarskiej partyzantce, która dość długo – jeszcze kilka lat po inwazji – stawiała opór barlogom. W końcu najeźdźcy spacyfikowali cały kraj, wytłukli lub zagarnęli w jegry niedobitki partyzantów. Na wschód przedarli się pojedyncze osoby, przynosząc dużo cennych informacji i chęć do dalszej walki. Ulrich służył potem w polskim zwiadzie. Kiedy skończył służbę, nie chciał przenieść się do Warszawy. Został na granicy, tak blisko rodzinnego kraju, jak to tylko było możliwe. Tkwił przy tym swoim stole niczym kamień na granicy dwóch pól – oblepiony błotem, zarośnięty trawą, ale twardo i jednoznacznie wytyczający granicę między dwiema dziedzinami. Od kamienia różniło go to tylko, że bardzo lubił mówić. Posługiwał się płynną polszczyzną, bez śladu obcego akcentu.

– Chcesz tu dłużej zostać, Kajetan?

– Nie, tak naprawdę wędrowałem do Gorzowa. Muszę zdać relację z mojej ostatniej podróży, przekazać dane. Przez przypadek natknąłem się na tego soggotha, no a skoro go upolowałem, to należy mi się nagroda? Odsapnę dzień, dwa i ruszam dalej.

– Przydałbyś się tutaj, do obrony.

– Wiesz dobrze, że mam co innego do zrobienia.

Zamilkli, przez chwilę delektując się gorzkim smakiem piwa. Siedzieli w kącie sali, Kajetan lekko wychylił swoje krzesło, plecami oparł się o betonową ścianę, wyciągnął nogi. Spod półprzymkniętych powiek obserwował innych gości kantyny: żołnierzy, mieszkańców okolicznych osad, kupców, inżynierów geomancyjnych. Wojskowych wydawało się być więcej niż ostatnio, a cywilów – mniej. To zaś oznaczało, że szerzy się niepokój, że wieśniacy boją się podróżować, a armia szykuje do walki. Kajetan postanowił się tym nie przejmować, o tak, ten wieczór relaksu należał mu się po wielotygodniowej tułaczce po ziemiach, których nie ma na żadnych mapach, po przedzieraniu się przez umagicznione zaodrzańskie lasy, po walce z soggothem i wreszcie – konieczności wspólnej podróży z Gardanem, aroganckim elfem. Kajetan się luzował.

Ulrich przeciwnie, siedział przygarbiony nad stołem, ściskając kufel swymi wielkimi łapami, tak że naczynie ledwo było widać spomiędzy palców. Wydawało się, że w każdej chwili gotów jest się sprężyć, poderwać, wyciągnąć z pochwy miecz i ruszyć do boju. W czym nie przeszkodziłby mu fakt, że zamiast nóg miał dwa kikuty odcięte powyżej kolan.

– Co u ojca? – spytał Ulrich, kiedy najwyraźniej uznał, że milczenie trwało już dostatecznie długo.

– Prędzej ciebie mógłbym o to zapytać. Chodziłem poza Horyzontem, żadnej łączności. Jak dojdę do Gorzowa, to się z nim skontaktuję. Kiedy ruszałem, jego chorągwie szły na wschód.

– Tam się uspokoiło, na szczęście. Finowie dobrze się spisali.

– A tu? – Kajetan pokręcił głową, omiatając wzrokiem kantynę, a w rzeczywistości gestem tym oznaczając w ten sposób i samo Korniejewo, i wszystkie okoliczne ziemie. – Co tu się tak naprawdę dzieje?

– Ruch, duży ruch, mamy więcej wojska, sporo elfów się pojawiło. Łowcy potworów poszli w puszcze, były duże oblawy. Mają do tego specjalną formację teraz. Przysłali też sporo obeliksów, słyszałem, że

stawiają menhiry równolegle w kilku powiatach. No i chwytają potwory. Zakazali zabijać, tylko łapią i wysyłają na wschód. Tu na miejscu też trzymają kilka. Jest ruch.

– Jęrzy podchodzą blisko?

– Nie, to raczej w Polsce się zaczęło. Wraz z marcem przysłyżli znaki. Pierwsza burza wiosenna nad Warszawą trwała równo trzynaście godzin, a w tęczy, która potem się pojawiła, podobno brakowało czerwonego koloru. Różnie ten znak interpretowano. Jedni mówili, że to zapowiedź końca wojny i przelewu krwi. Inni zaś odwrotnie, przepowiadali, że to wróży klęskę, bo wszak czerwony kolor występuje i na polskiej fladze, i w godle. Inny znak przyszedł z północy, wiosenny sztorm wyrzucił na gdyński brzeg gigantycznego kaszalota, w którego brzuchu znaleziono wrak okrętu podwodnego „ORP Orzeł”. Wiesz, zaginionego w boju ponad sto lat wcześniej. – Urlich zawahał się na chwilę. – To była wojna z Niemcami. Potem, oczywiście, holowizyjni eksperci udowadniali, że nie ma w tym nic dziwnego, że stworzy tej wielkości rodzą się teraz w głębinach oceanu i że nic już nie blokuje im drogi do Zatoki Bałtyckiej. Kiedy taki kaszalot zbliży się za nadto do którejś z naszych pływających fortec, może się nieźle nałykać otaczającej ją ochronnej patriosfery. Zazwyczaj wtedy po prostu atakuje porty wroga, ale czasem rozpoczyna mistyczne poszukiwania. No i tym razem odnalazł „ORP Orzeł” i dusze pięćdziesięciu czterech marynarzy. Ale... eksperci gadają swoje, a ludzie i tak twierdzą, że odszukanie statku-legandy musi coś oznaczać.

– A armia przyznała rację plotkom, a nie ekspertyzom, i wzmocnia granice.

– Ano właśnie. Tylko się boję, że to czarnych sprowokuje. Obeliksi jeszcze dostatecznie nie zabezpieczyli okolicy. To wciąż nie jest nasze terytorium. Jeśli barlogi uderzą dużą siłą, to wedrą się do marchii i podejdą pod samo Korniejewo.

– Nigdy się ich nie bałeś, Urlich. Przez lata tłukłeś ich bez chwili wahania.

– Bo przez lata nie miałem nic do stracenia. Zabrali mój hajmat, moich bliskich, wszystko. Przemienili w czarną otchłań, w mrok.

– A teraz?

– A teraz? Teraz... – Urlich zawahał się. – Uświadomiłem to sobie ostatnio. Mam nowy dom. Mam nowych bliskich. Innych niż tamci... tamtych nic nie zastąpi... ale są, istnieją... żyją wśród nich, choć – jak pewnie wiesz – większość tutejszych się mnie trochę boi. Tak jak i ciebie. Nie martwię się o swoje życie, ale nie chcę drugi raz patrzeć na zagładę hajmatu. Nie chcę. – Jednym haustem dopił piwo. Pochylił się i zaczął dopinać protezy do kikutów nóg. – Chodź, pokażesz mi, co ciekawego znalazłeś w obcych krajach.

– Wiesz, że nie mogę.

Urlich chwilę mocował się z opornymi paskami, wpiął kable protez w tkwiące w boku ud gniazda czipowe. Zasapał się przy tym nieco.

– Szajse! Muszę w końcu wymienić ten sprzęt.

– Narzekasz na niego za każdym razem, gdy się widzimy. I nie wymieniasz.

– Bo się z nim, jak by to powiedzieć?... zżyłem. Ufff... No dobra, chodźmy.

– Wiesz, że nie mogę pokazywać ci żadnych zebranych za Horyzontem materiałów.

Urlich podniósł się z krzesła. I dawniej był wysoki, ale protezy dodały mu dwadzieścia centymetrów. Kiedy się wyprostował, przestrzeń nagle zrobiła się wypełniona i zajęta – niczym zagracony pudłami strych. Przygiął kolana, kilka razy przeniósł ciężar ciała z jednej nogi na drugą, sprawdzając kontrolę nad protezami. W milczeniu ruszył w stronę drzwi. Szerokie, czteropalczaste stopy przypominały łapy drapieżnego ptaka, choć pazury były schowane. Wypolerowane i lśniące, ciężko uderzały o podłogę. Ostatnie dziesięć lat swej służby Urlich spędził w lesie już z tymi protezami i zabił nimi wielu przeciwników.

Kajetan ruszył za Bawarem. Kiedy wyszli z kantyny, ogarnął ich przyjemny chłód lipcowego wieczoru. W stancy panował spory ruch. Na centralny plac wjeżdżały wojskowe pojazdy, przemykali przez niego jeźdźcy na koniach, spacerowało wielu pieszych.

– Gdzie nocujesz?

– Jak zwykle, w kwaterze wojskowej.

– No to chodźmy. – Urlich ruszył szybkim krokiem.

– Urlich, wiesz, że nie mogę udostępnić ci żadnych zebranych danych.

Olbrzym zatrzymał się, odwrócił do Kajetana.

– Nie musisz mi niczego udostępnić. Opowiesz mi, po prostu mi opowiesz. Jak tam teraz jest? Bo byłeś też w Niemczech, prawda?

Kajetan już miał odpowiedzieć, gdy nagle zobaczył coś, co wstrzymało jego słowa. Z bocznej uliczki na plac wyszedł mały oddział. Czterech rosyłych elfów otaczało drobną postać. Żołnierze ubrani byli według rytu, którego Kajetan jeszcze nigdy nie widział. Mieli hełmy z białego metalu, szczelnie okrywające głowy, śnieżnobiałe mundury i rękawice, płaszcze, spod których wystawały czarne pochwy mieczy. Na plecach nieśli tarcze, również jaskrawobiałe, a na nich – zamiast rodowych znaków – umieszczony był czarny Run Gromu, najsilniejszy antymagiczny znak obronny, jaki znał Kajetan. Używano go w czasie bitew z barlogami, jedynie

w krótkich chwilach, gdy trzeba było posłużyć się największymi mocami, bo utrzymanie tego runu i korzystanie z niego wyczerpywało siły największych wojowników. Ci tutaj zaś nieśli go po prostu na swoich tarczach niczym zwykły znak herbowy.

Pomiędzy żołnierzami szła jeszcze dziwniejsza postać. Wydawała się przy nich drobna i krucha, delikatna niczym dziecko ze szkła. Elfka o półprzymkniętych oczach, wąskich ustach, delikatnych, niemal przezroczystych nozdrzach, długich siwych włosach opadających na kark. Też ubrana była w biały mundur o żeńskim kroju, na dłoniach miała rękawiczki z mithrylowej koronki, sięgająca bioder peleryna ochraniała jej plecy. I na tej pelerynie wyhaftowano Run Gromu, tyle że kilkakrotnie większy niż na tarczach rycerzy. Kobieta czuła jego ciężar, szła lekko przygarbiona, stawiała stopy ostrożnie, jakby obawiała się, że trafi na jakąś podziemną pułapkę zapadającą się pod jej ciężarem – a bardziej nawet – pod ciężarem dźwiganego na plecach znaku.

Mijani przechodnie rozstępowali się na widok białej grupy, tak ludzie, jak i elfy, ci drudzy pochylali jeszcze głowy w wyrazie szacunku, w którym Kajetan dostrzegł też coś, co początkowo wydawało mu się niemożliwe – lęk.

Kajetan i Ulrich również ustąpili z drogi, a wtedy na moment elfka podniosła głowę i otworzyła szerzej oczy. Spojrzała na Kajetana, najpierw na jego pierś, powoli przeniosła wzrok wyżej, na twarz. Miała białobłękitne tęczówki, niczym rozpalone lipcowe niebo, a źrenice duże i smoliście czarne.

Kajetan położył dłoń na wiszącym na szyi Kluczu, który ściągnął nań uwagę dziwnej elfki. A potem bezwiednie, wciąż patrząc jej w oczy, pochylił głowę w geście szacunku. Trwało to może dwie sekundy, wreszcie pochód minął ich, elfka odwróciła wzrok, znów wbiła spojrzenie w ziemię.

– Idą do lochów – przerwał milczenie Ulrich. – Będzie pracować, a to znaczy, że dziś w nocy wielu ludziom w Korniejewie przyśnią się koszmary.

– Kim ona jest?

– Nie wiesz? Nie dziwię się. Znam elfy od sześćdziesięciu lat, a też nie miałem pojęcia o istnieniu takich. Ona jest katem. Torturuje potwory i wydobywa z nich informacje.

4.

Cały następny dzień zszedł Kajetanowi na załatwianiu formalności związanych z odbiorem nagrody i porządkowaniu przywiezionych z wyprawy znalezisk. Kilka co delikatniejszych artefaktów musiał porządnie zabezpieczyć przed destrukcyjnym działaniem bojowych nanokadabr krążących wokół stancy. Pochodziły z poza horyzontalnych krain i nie wiadomo było, jak się zachowają w tej rzeczywistości. Amulety, małe rzeźby, zwoje ksiąg spisanych w obcych językach, parę malowanych miniatur – właśnie z takich ułamków i świadectw służby geograficzne próbowały złożyć obraz światów za Horyzontem. Ale nie tylko. Kajetan rzucił na mocniejszy komputer i zbekapował zapisy kamer, aparatury meteorologicznej, sond biologicznych i chemicznych, wreszcie najważniejszych: krokomierzy i dzipiesów. Superkomputery w Warszawie dostaną nową porcję danych i spróbują je wtłoczyć w już istniejącą matrycę wciąż się zmieniającej geografii strefy przy horyzontalnej – wielkiego terytorium pomiędzy Odrą a rzeką, która kiedyś była Łabą. Ziemi, na której trzydzieści lat wcześniej rozegrało się ostatnie wielkie starcie między barlogami i elfio-ludzką armią, a która dziś stanowiła granicę między władztwem czarnych a Królestwem Polskim. Bariere zmiennej geografii, wrót prowadzących do nowych światów, pułapek uginających przestrzeń i czas. Świata poza Horyzontem – nie dającego się badać z orbity ani z powietrza. Eksploracją tej przestrzeni zajmowali się geografowie podróżnicy, tacy jak Kajetan.

Po odpaleniu komputerów mógł spokojnie zająć się innymi znaleziskami. Próbki roślin i nasion porozdzielał do hermetycznych pojemników. Zeskanował ręczne zapiski i zgrał dźwięki z dyktafonu, na który udało mu się nagrać kilka próbek mowy, odgłosy przyrody, a także i własne komentarze.

Po południu zajął się przeglądem broni i doładował w końcu kartę kredytową nagrodą za soggotha. Sprawdził też, że w ciągu najbliższego tygodnia do Gorzowa nie rusza żaden kupiecki konwój, z którym mógłby się zabrać, a z wojskiem nie chciał podróżować. Musiał zatem pożyczyć konia, ale z tym nie było żadnego problemu. Z wojskowych stajni bez przeszkód wybrał sześciolatniego, smukłego wielkopolaka. Siwka, co rzadko się spotyka. Ciekawskiego i nader łasego – jak obwieścił koniuszy – na cukier. Po prawdzie wierzchowca oddawał niechętnie, gdyż ostatnio wokół Korniejewa trwał duży ruch, więc konie potrzebne były dla zwiadowców i gońców, ale glejty, którymi dysponował Kajetan, nie pozostawiały wątpliwości. Geograf pracował dla samego hetmana koronnego i miał prawo korzystać z nieograniczonej pomocy armii i służb cywilnych Królestwa.

Wieczorem jeszcze raz sprawdził wszystkie pakunki i wziął długą kąpiel (czekały go cztery dni w siodle). Potem, popijając piwo, obejrzał skróty kilku serwisów informacyjnych, z których najświeższy pochodził sprzed dwóch tygodni. Nastawił budzik na czwartą rano i poszedł spać.

Tak jak planował, obudził się przed świtem. Ale ze snu wyrwał go nie terkoczący dźwięk budzika, a mocny, rytmiczny sygnał wojskowej trąbki sygnałowej. Garnizon Korniejewo został zaatakowany.

Kajetan wybiegł z budynku, jeszcze dopinając pas z mieczem i kaburą peemu. Nie musiał zgłaszać gotowości bojowej w dowództwie fortu – ważniejsza była ochrona znalezisk – chciał się zorientować, co się dzieje.

Niebo było ciemne, chmury przesłaniały księżyc i gwiazdy. W ten mrok, niczym w czarny kozuch przykrywający stanicę i otaczający ją las, wbijały się teraz snopy jaskrawego światła z rozmieszczonych na wieżach reflektorów. Szperacze przeszukiwały niebo, kładły się niżej, by oświetlić teren wokół fortu, a czasem i sam fort. W kolumnach magicznego białego światła wypalały się co chwila różnobarwne iskierki nanokadabr, a na granicy między blaskiem i ciemnością plotły się błyski wyładowań. Wewnątrz kolumn gęstniały też niewyraźne początkowo kształty bojowych świetlików, które co chwila wystrzeliwały w ciemność, szukając celu.

Trąbki wciąż grały pobudkę, ale szybko ich dźwięki zmieniły się, skomplikowały, połączyły w melodię. To trębacz zapletli ochronną muzykę, stawiając wokół fortu kolejne bariery obronne.

Komputery zaczęły włączać światła w niektórych budynkach osady, a wygaszać w innych, tak by rozświetlone okna tworzyły silne magiczne znaki, widoczne z daleka i już z dużej odległości blokujące drogę napastnikom.

W oddali zaterkotały pierwsze karabiny. Grzmotnęły granatniki.

Kajetan chwilę jeszcze postął na progu domu, zbierając te wszystkie sygnały i automatycznie wyszeptując mantry bojowe. Znow podniósł wzrok na niebo. Tak, było czarne, lecz na północnym zachodzie panował zdecydowanie gęstszy mrok. Chmura czarnego atramentu, obejmująca niemal jedną trzecią nieboskłonu, płynęła powoli ku Korniejewu, znacząc ślad marszu wojska barlogów.

Zerkając co chwila na chmurę, ruszył szybkim krokiem w stronę budynku dowództwa. Tam w skarbcu przechowywano jego znaleziska i tam właśnie musiał się stawić, by móc je ochraniać. Po drodze minął wiele osób, najczęściej biegnących i uzbrojonych. Byli wśród nich i żołnierze podążający na swoje miejsca zbiórki, i cywile, na czas ataku przyporządkowywani do różnego rodzaju służb pomocniczych. Kiedy wyszedł na główny plac, usłyszał jeszcze stukot podkutych kopyt i zobaczył tył kłusującego ku bramie głównej półszwadronu ułanów. Kałkany, okrągłe tarcze, które nosili na plecach, i proporczyki wieńczące ich lance lśniły pomarańczowo.

Z dachu dowództwa podnosił się właśnie helikopter, przez plac przebiegał kolejny oddział żołnierzy i jechała karetka.

Palba stawała się coraz intensywniejsza, zlewając w jednostajny, miarowy terkot, przerywany czasem wybuchem granatów lub armatnich pocisków.

Trębacz umilkli, wypełniwszy swe zadanie – utworzyli wokół fortu oktawową barierę defensywną. Teraz odezwał się kościelny dzwon, miarowym biciem wtłaczając w nią moc.

Gwałtowny błysk przeciął niebo – to pierwszy z reflektorów trafił w czarną chmurę. Zakotłowało się, atramentowy kozuch ugiął się, rozstąpił. Siegnął go kolejny świetlny promień, z którego wystrzelił także rój bojowych świetlików, zajadłe atakujących i pożerających pole siły wroga. Magiczna chmura miała wszak dawać ochronę i moc idącym pod nią jegrskim oddziałom. Jeśli zostanie zniszczona bądź osłabiona, łatwiej będzie walczyć z agresorami. Dlatego kolejne reflektory wbijały się w nią, przecinały, wysyłały bojowe świetliki o różnych wzorach i mocy. Ale i chmura płodziła swoich obrońców – płaskie, nietoperzowe kształty planetników ciemniejszych jeszcze niż czerń, która ich zrodziła. Rzucały się na świetliki, wchłaniały je, czasem ginęły przy tym przepalane w nicość. Inne spływały z nieba ku walczącym żołnierzom, a następne kierowały się ku fortowi, po drodze formując się, zmieniając, przyjmując coraz wyraźniejsze i różnorodne formy. Tłukła w nie artyleria naziemna i magiczne światło szperaczy, wreszcie w polu walki pojawił się i helikopter z jarzącą się na burcie białą-czerwoną szachownicą.

Kajetan dotarł wreszcie do bunkra kwatery głównej. Od razu widać było, że jest to najważniejszy obiekt w całej stаницy. Komendanturę otaczał roślinny strażopłot, gęsty, czarnozielony i śmiertelny dla intruzów, z jednym tylko przejściem, pilnowanym teraz przez czwórkę strażników. Kilku innych, podzielonych na dwuosobowe patrole, nieustająco krążyło wokół ogrodzenia. Na dachu dowództwa stały wielofazowe szperacze różnej wielkości. Non stop przeczesywały niebo, tworząc nad kwaterą ochronny strop ze światła i

wirujących światełek. Pomiędzy nimi przemykały też ciemne sylwetki bojowych ptaków. Przy rozstawionych w rogach kwatery głównej działkach krzatali się artylerzyści.

Kajetan stanął przed strzegącymi bramy żołnierzami.

– Oto mój znak. – Dotknął zawieszzonego na szyi Klucza. Dowódca warty chyba był nowy w Korniejewie, bo nie rozpoznał Kajetana. Zgodnie z procedurą uaktywnił swój strażniczy pierścień i przeskanował sylwetkę przybysza. Geograf cierpliwie czekał, aż skaner zbierze jego indywidualną aurę. Pierścień zaśnił na zielono.

– Dostęp uprawniony – potwierdził strażnik, cofając się pół kroku i dając Kajetanowi przejście.

Gałęzie rozstąpiły się, otwierając bramę, i Kajetan ruszył w stronę dowództwa garnizonu Korniejewo. Próbował znów spojrzeć na niebo, ale ściany budynku z jednej, a strażopłot z drugiej strony zasłaniały widok. Tylko z wciąż gęstniejącego huku eksplozji można było się domyślić, że atak nie słabnie i zbliża się do stancji.

Nagle mężczyzna zatrzymał się. Poczuł ból. Lekki, pełgający, niemal na granicy wycucia. Przez chwilę myślał, że to barlogom udało się przełamać bariery ochronne fortu i zaatakować obrońców. Ten pierwszy ślad bólu byłby wtedy tylko zapowiedzią cierpienia, jakie miałyby za chwilę spaść na ludzi i elfy, zmuszając ofiary do wycia, szarpania własnych ciał, szaleństwa i samobójstwa.

Tak właśnie stałoby się, gdyby czarna chmura przedarła się nad osadę i opadła na ziemię w postaci atramentowej, zimnej rosy. Gdyby zrzucony przez nią deszcz złowadów wymył powietrze z ochronnych nanokadabr, tak jak zwykły deszcz zabiera ze sobą roślinne pyłki. Gdyby mroczne krople przepaliły ludzką skórę, a ich aura – ludzkie umysły. Wtedy Korniejewo by padło, a ci obrońcy, którzy przeżyli, zostaliby zamienieni w niewolników.

Na szczęście ćmiący ból, który poczuł Kajetan, nie był pierwszym sygnałem klęski. Nie. Jego źródło mieściło się wewnątrz Korniejewa, blisko miejsca, w którym znajdował się mężczyzna. Obok komendatury stał mniejszy obiekt, bunkier niemal całkowicie zagrzebany w ziemi. Kajetan wiedział, że to specjalny budynek, magicznie wygłuszony, którego ściany stanowiły skomplikowaną konstrukcję z betonu, stali, mithrilu i drewna głogu. Bunkier wykorzystywany był do przechowywania szczególnie cennych artefaktów, zawierania najmocniejszych umów i prowadzenia najtajniejszych narad. A teraz pomimo metrów betonu i mikrometrów metalu elfów sączyła się zeń magia. I cierpienie – ćmiące niczym ból zęba, ale rozlewające się po całym organizmie.

Wejścia do bunkra pilnowali kolejni strażnicy, tym razem dwóch elfów z dziwnej, białą umundurowanej formacji, którą widział w ciągu dnia. Zagrodzili Kajetanowi drogę, lecz niemal natychmiast zorientowali się, kim jest. Pochylili głowy z szacunkiem. Odwzajemnił ukłon i wąskimi betonowymi schodkami zszedł do drzwi bunkra. Otworzył je, mamrocząc mantry uśmierzające, nie przewidział jednak siły uderzenia. Zabolalo mocniej, a w nozdrza wdarł się gnilny smród. Kajetan poczuł gwałtowny, adrenalinowy impuls. Tam w środku było coś złego, bardzo złego i na dodatek obdarzonego potężną mocą. Bardzo, bardzo groźnego.

I wtedy wyczuł coś jeszcze, ledwie ślad pięknego zapachu, trop woni niosącej radość i szczęście.

Szybko wszedł do środka, zatrzasnął drzwi, stanął przed kolejnymi, a potem jeszcze przed następnymi. Przedarcie się przez służę zajęło mu sporo czasu, ale rozumiał, dlaczego zbudowano ich aż tyle. Miały chronić tych w bunkrze przed światem zewnętrznym. I świat zewnętrzny przed tym, co czasem w tym bunkrze przechowywano. Tak jak teraz.

Ruszył wąskim, słabo oświetlonym korytarzem. Na jego ścianach dostrzegł ochronne płaskorzeźby i graffiti, kilka krucyfiksów, a po chwili zorientował się, że każdy jego krok śledzi umieszczona pod sufitem kamera.

Korytarz opadał, za kolejnymi drzwiami przekształcał się w wąską galeryjkę otaczającą dużą halę, wypełniającą zapewne większą część bunkra. Podłoga sali znajdowała się jakieś osiem metrów niżej, a strop – tuż nad głową Kajetana.

Wciąż szepcząc ochronne mantry – bez nich pewnie już by wył z bólu – zatrzymał się na krawędzi galeryjki i oparł o ochronny płot z metalowych prętów pomalowanych w białoczerwone pasy. Spojrzał w dół.

Najpierw zobaczył stwora. Czarny kształt miotał się w niewidzialnej klatce stojącej w samym centrum bunkra. Ściany więzienia były przezroczyste, uformowane z magii i eteru. Czasem tylko, gdy potwór uderzył w nie szczególnie mocno, wydawało się, że można dostrzec w powietrzu równe pętle białoczerwonego drutu otaczającego potwora niczym gigantyczna cewka. Na górze i na dole odchodziły od niej dwa kable, zbiegające się w pudle urządzenia już jak najbardziej widzialnego – szafy pełnej pulsujących świateł, wskaźników, eteralnych komutatorów i bezpieczników. To był silnik generujący moc do niewidzialnej cewki wytwarzającej magiczne pole i więżącej potwora.

Wyglądał niczym żywy, poruszający się kłęb żył i tętnic, odtwarzający pokrój ludzkiego ciała i sylwetki, ale nie wypełniony mięsem. Tylko w miejscu oczu pulsowały grona światłoczułych soczewek, a zbudowane z linii i rurek ręce były dziwnie długie. Potwór giał się, zwijał, uderzał w ściany cewki eteralnej, wciąż się przekształcając, zmieniając proporcje, siejąc wokół czarnymi i srebrnymi fagami zarazy, bólu i straty. Z

potężnego ciała odarła go eteralna maszyna więzienna, ale mocy nikt i nic nie mogło mu zabrać – co najwyżej uwięzić razem z nim. Lecz część z impulsów wyciekała z klatki, były tak silne i żywotne, że przesączały się nawet poza granicę bunkra.

Uwięziony stwór nie był przekształconym człowiekiem – jegrem, wandalom czy wampirem. Nie, to był graf, sługa barlogów, który przybył na Ziemię z tamtego, czarnego świata.

„Wyobraź sobie myśli i odczucia człowieka – powiedział kiedyś Kajetanowi jego przybrany ojciec – który torturuje dziecko i któremu to sprawia radość. Wiem, że to dla ciebie trudne... Ale pomyśl, bo przecież sobie czegoś takiego nie sposób wyobrazić, tak, pomyśl o człowieku, który zadaje ból bezbronnej istocie i czerpie z tego przyjemność. O tej obrzydliwej, okrutnej chwili, w której zaspokajają swoje wynaturzone pragnienia. Graf tak myśli zawsze, to obrzydlistwo non stop wypełnia jego jaźń i jest rozsiewane na umysły ludzi. Od tego można oszaleć. Dlatego nigdy – powtarzam, nigdy! – nie zbliżaj się do grafa bez przygotowania, bez wsparcia, bez zaufanej osoby”.

Przepraszam cię, ojczy, ale muszę to zrobić teraz!

Naprzeciwko klatki z grafem na wąskim i chyba niezbyt wygodnym krześle siedziała elfka, ta sama, którą Kajetan widział wcześniej z eskortą. Białe płaszcz zarzuciła na ramiona, nogi skrzyżowała po turecku, dłonie wsparła o kolana. Wpatrywała się w potwora, czasem podrywała ramiona, kreśliła w powietrzu dziwne znaki. Kajetan dopiero po chwili zorientował się, że wygląda to tak, jakby elfka głaskała, przytulała i pieściła grafa. Stwór musiał odbierać te gesty, paliły go chyba niczym święconą wodą, bo szarpał się, walił w ściany klatki, pluł fagami.

Kobieta powiedziała coś do potwora. Kajetan wyteżył słuch, lecz nie zdołał zrozumieć ani słowa. Za to graf usłyszał na pewno – zaczął się wić, przekształcać, raz po raz emitować fale bólu i pragnienie strasznego zaspokojenia. Wyglądał groźnie i obrzydliwie jednocześnie, ale najgorsze myśli słał wprost w umysły patrzących nań ludzi.

Kajetan wyjął z kieszeni bloczek samoprzylepnych zakłęb. Oderwał jedną żółtą karteczkę, przykleił sobie do piersi. Natłok płynącego od grafa zgiełku i bólu zmalował.

Teraz Kajetan usłyszał wyraźnie, co elfka mówi do potwora. Jak opowiada o swojej miłości. Jak czule szepcze do niego. Jak żali się nad nim i mu współczuje.

– Mów, mów – powtarza. – Już nie będziesz cierpiał. Mów, mów, kochany.

Nagle przerywa. Podnosi głowę, przesuwając wzrok po ścianach bunkra, galerijce, wreszcie natrafia na Kajetana. Przez chwilę patrzy wprost na niego, ale jej spojrzenie biegnie gdzieś dalej, poza ścianę bunkra, poza Korniejewo, poza czas i przestrzeń. W oczach, błękitnych jak lipcowe niebo, ma łzy. I miłość.

Kajetan znów czuje ból i obrzydzenie. Wycofuje się z tego dziwnego i strasznego miejsca, powoli, tyłem, krok po kroku. Już nie widzi kobiety, już ma za plecami chłód drzwi, już biegnie wąskim korytarzem.

Nie wie, o co tu chodzi, nie rozumie, co się dzieje...

Ta białowłosa elfka kocha grafa. Kocha wroga. Kocha potwora.

5.

Atak odparto przed świtem, a jeszcze w czasie bitwy do Korniejewa zaczął wlewać się tłum przybyszów. Byli wśród nich uchodźcy z okolicznych osad, całe rodziny z wozami, bydłem i dobytkiem, które kierowano do prowizorycznego miasteczka namiotowego przy wschodnich rubieżach stancy. Schodzili się też myśliwi i zwiadowcy, czy to chcący skryć się w bazie na czas zawieruchy, czy przynoszący nowe wieści, czy wzmacniający formacje obronne. Wracali też z lasu patroli straży granicznej i mniejsze oddziały, do niedawna stacjonujące w bazach polowych na zachód od Korniejewa. Co prawda do lasu natychmiast ruszały świeże czujki, ale w stancy zrobiło się tłoczno i gwarno. Pod jasnym, błękitnym, oczyszczonym z nocnego koszmaru niebie od czasu do czasu przepływały stada bojowych ptaków.

Ale najważniejszy transport przyszedł ze wschodu. Jeszcze przed ósmą rano do granicznych rogatek dotarł pierwszy wehikuł geomancyjny, a za nim niemal trzydzieści potężnych ciągników parowych, wiozących menhiry i moduły trylitowe. Kolumnę prowadziły i zamykały wozy piechoty. Po bokach kłusowało kilkunastu dragonów.

Dawno w Korniejewie nie widziano tak potężnego ładunku menhirów. Dowództwo preferowało raczej taktykę powolnego dostarczania kilku sztuk, obawiając się, że wielkie przerzuty zostaną zauważone przez barlogów. I słusznie, jak się właśnie okazało. Nocny atak czarnego zagonu miał zapewne na celu nie zdobycie samego Korniejewa, a przełamanie struktur obronnych utrzymywanych przez ten węzeł, wdarcie się na terytorium Polski i zniszczenie menhirów jeszcze w drodze. Próba wyjaśnienia, skąd barlogi wiedziały o transporcie, przypadała pewnie teraz o ból głowy najwyższe szarże w kontrwywiadzie.

Ale, na szczęście, atak został powstrzymany i megality dotarły na miejsce. Ciągniki wjechały do Korniejewa, zajmując wszystkie główne ulice i plac centralny. Zaroiło się wokół od żołnierzy, służb pomocniczych i inżynierów wojsk geomancyjnych, zwanych obeliksami.

Szykowała się więc gigantyczna operacja budowlana. W ciągu kilkunastu dni ochraniający przez żołnierzy geomanci spróbują postawić menhiry i trylity na nowej rubieży obronnej. W ten sposób utrwala polską władzę na ziemi odbitej w ciągu ostatnich miesięcy walk i zabezpieczą te tereny przed magią czarnych. Na tak odzyskanym obszarze powstaną nowe stacje wojskowe i zostaną posadzone dęby graniczne wzmacniające magię megalitów. Potem rozpocznie się osadnictwo.

Od kilkunastu lat to ludzie i elfy byli w ofensywie, wyrывая barlogom coraz to nowe obszary. Strategiczne plany – według wiedzy Kajetana – zakładały, że w ciągu kolejnej dekady polskie władztwo w pełni wróci na linię Odry.

Kajetan obejrzał sobie wchodzące do stancy wojsko, zamienił kilka zdań ze znajomym obeliksem, spakował się i już konno podjechał do otoczonego strażopłotem sztabu. Tym razem strażnicy rozpoznali go od razu, przytrzymali wierzchowca, gdy zsiadał, wpuścili do środka.

Nie wyczuł żadnej wrogiej magii. Może graf odpoczywał po nocnej aktywności, może jego moce osłabły w blasku słońca, a może wtedy był tak silny, bo czuł zbliżających się sojuszników. Za to nozdrza Kajetana połaskotała owa słodka, miła woń, którą poczuł w nocy. Biała elfka musiała być gdzieś blisko.

Odmeldował się, wypełnił stosowne dokumenty i pobrał z magazynu dwa małe, hermetyczne pojemniki zawierające najcenniejsze znaleziska z ostatniej wyprawy – skroplone aury kilku napotkanych poza Horyzontem zdarzeń i istot. Z tych substancji magowie w Warszawie będą w stanie wycisnąć wiedzę tak o samych stworzeniach, jak i o naturze świata, do którego trafił Kajetan. Podobnie biolodzy potrafią wydobyć DNA z kilku komórek zwierzęcia i odczytać informacje o jego kształcie, zachowaniach i ewolucyjnej przeszłości.

Kajetan umieścił oba termosy w specjalnej sakwie, którą potem starannie przytroczył do pleców. Mógł ruszać w drogę, ale chciał jeszcze wpaść do baru i pożegnać się z Urlichem.

Wyszedł z budynku sztabu, zmrugał od słońca oczy i raz jeszcze spojrzął na bunkier, w którym przetrzymywano grafa. W tym właśnie momencie drzwi budynku otworzyły się i stanął w nich wysoki, umundurowany elf w szarży rotmistrza. I on dostrzegł człowieka. Od razu ruszył w jego stronę.

- Witaj, geografie! – powiedział, gdy stali już niemal twarzą w twarz.
- Witaj, Gardanie – odparł Kajetan, tonem głosu dając do zrozumienia, że nie w smak mu ta rozmowa.
- Więc wyjeżdżasz?
- Za chwilę.
- Widziałeś, co działo się w nocy. Jesteś tutaj, geografie, masz moc. Wesprzyj nas.
- Wiesz, że już nie służę.
- Mam mało ludzi, pomóż mi.
- O co ci chodzi?
- Jutro pani Anna Naa’Maar będzie wracać do Polski. Tu robi się zbyt niebezpiecznie. Poczekał, zabierz się z jej konwojem.
- Nie mogę czekać.
- Czemu?
- Bo tu jest zbyt niebezpiecznie, sam powiedziałeś. Nie mogę ryzykować, że moje trofea przepadną. Wiesz to doskonale.

Elf nie odpowiedział od razu, patrzył na Kajetana. Wiatr rozwiewał jego długie, jasne włosy, w wąskich elfich oczach lśniły pomarańczowe tęczęwki. Gładką, dziewczęco delikatną skórę twarzy znaczyła długa blizna przecinająca prawy policzek.

- Kiedyś byłeś inny.
- Kiedyś służyłem w armii. Musiałbym zostać. Teraz służę hetmanowi koronnemu. Zostając, złamałbym jego rozkazy. Przecież to wiesz.
- Tak – powiedział elf po kolejnej chwili wahania. – Wiem.
- Więc po co... – zaczął Kajetan, ale Gardan mu przerwał:
- Bo trzeba ją chronić, bo każdy miecz może być potrzebny, bo jesteś człowiekiem.
- A ona? Kim ona jest?

Przez twarz Gardana przemknął cień uśmiechu.

– A więc nie wiesz? Ty, geograf, podróżujący po światach poza Horyzontem. Ty, syn przyjaciela elfów, ty, posiadacz Klucza Przejścia?

– Tak, ja, zmęczony tą rozmową człowiek... Nie wiem. I pewnie się nie dowiem, bo muszę już iść, a ty nie odpowiadasz na moje pytania, tylko głędzisz.

Elf nie dał się sprowokować. Znów się uśmiechnął.

– Ona jest katem – odrzekł spokojnie. – Chcesz usłyszeć więcej?

I opowiedział, choć Kajetan nie wszystko rozumiał. Anna Naa'Maar należała do szczególnej kasty w społeczeństwie elfów – Zakonu Łabędzia. Jej zadaniem było wchodzić w umysły istot ze świata barlogów i ich sług. Rozumieć je, współczuć, wybaczać. Kochać je, a tą miłością zadawać ból i wydobywać informacje.

Barlogi, grafy, jęgrzy są źli. Nie dlatego, że wyznają inne wartości, religię czy porządek społeczny niż ludzie i elfy. Nie dlatego, że chcą podbić Ziemię, tak jak podbili już wiele innych światów, i że na zdobytych terenach narzucają swą okrutną władzę. Są źli w sposób elementarny, karmią się strachem i bólem, czerpią siłę i rozkosz z cierpienia innych istot.

Schwytani – oczekują ze strony swych strażników walki, zemsty, poniżenia, fizycznego bólu. Tymczasem Łabędzie kochają ich. Wybaczą. Żałują. Przenoszą na drugi kraniec etyki, odwracają znaki na osi emocji.

Graf czerpałby satysfakcję z zadawania bólu małemu dziecku. Ale jeszcze większą z obserwowania cierpienia matki tego dziecka zmuszonej do patrzenia na okrutny rytuał. Dla niej ta rozkosz wydaje się obrzydliwa, niepojęta, ona cierpi, płacze. Graf triumfuje.

Lecz oto pojawia się Łabędź. Biały, czysty, rozmodlony. Przychodzi do grafa bez nienawiści i pogardy, nie zamyka umysłu przed jego zapachem i emocjami. Błogosławi go, zasklepia jego gniew, pieści umysł. Daje dobre sny, piękno, miłość. I w ten sposób zadaje straszliwy ból, miazdzy, poraża. Jest katem i psychologiem, spowiednikiem i inkwizytorem, matką Teresą z Kalkuty i Torquemadą. Białym Łabędziem.

Kajetan nie przerywał Gardanowi, milczał też, gdy elf skończył opowieść i wyraźnie czekał na komentarz.

– Rozumiesz teraz...

– Rozumiem. Ty też z nią nie jedziesz. Będzie ją eskortować tylko oddziałek jej osobistych strażników i ludzie. Dlatego chcesz, żebym ich wzmocnił.

– Tak.

– Czemu nie użyjecie helikoptera?

– Żaden helikopter nie uniesie skrzyni z grafem. Czarni nie mogą oderwać się od ziemi. Nie wiesz o tym?

– Wiem, to daje nam przewagę w tej cholernej wojnie. Ale myślałem, że mądrale w Warszawie rozgryźli już ten temat podczas mojej nieobecności.

– Nie rozgryźli.

Znów chwila ciszy. Nagle elf drgnął, odwrócił się. Drzwi bunkra ponownie się otworzyły i w progu stanęła elfka w białej szacie, Anna Naa'Maar z Zakonu Łabędzia. Zobaczyła mężczyzn, uśmiechnęła się i ruszyła w ich stronę.

– Boicie się jej – szybko szepnęła Kajetan. – Prawda? Nawet wy, elfy. Szanujecie ją, uznajecie jej sztukę, ale się jej boicie.

Elfka była coraz bliżej. Dopiero dziś, w pełnym świetle dnia i z bliska, Kajetan mógł zobaczyć, jak jest smukła i piękna. Miała delikatne rysy twarzy, wąski nos, pełne usta i błyszczące oczy. Bosa, ubrana jedynie w białą suknię sięgającą kolan, mocno wciętą w pasie, z odsłoniętymi ramionami. Jasne włosy splecione w kilkanaście warkoczyków opadały jej na ramiona i plecy, osłaniając spiczaste uszy. Wyglądała jak kilkunastoletnia dziewczyna, ale zapewne miała więcej niż sto ziemskich lat.

– Nie wiecie, czy istota, która zadaje ból, może być dobra? – szeptał dalej Kajetan, wpatrzony w zbliżającą się postać. Miał nadzieję, że elfka nie odczyta słów z ruchów jego warg. A może właśnie chciał, by je odszyfrowała.

– Nie wiemy, czy dobra istota może kochać potwory.

– I czy taka istota sama nie staje się potworem. Prawda?

Elf opuścił głowę i nie odpowiedział. Może dlatego, że Anna Naa'Maar stanęła już przy nich.

– Przepraszam, że musiałeś na mnie czekać, Gardanie – powiedziała. Kajetan drgnął. Słowa elfki wpłynęły do jego umysłu, była w nich i niepewność, i prośba o przebaczenie, i obietnica zadośćuczynienia.

– Nic się nie stało, spotkałem starego znajomego. Nawet próbowałem go namówić, żeby nie wyjeżdżał z Korniejewa dzisiaj, tylko dołączył do ciebie, pani, jutro.

– I udało ci się?

– Niestety nie. To Kajetan Horwath, geograf w służbie hetmańskiej. – Elf zrobił krok do tyłu, jakby zapraszając ich do zbliżenia się i podania sobie rąk. Ale ani człowiek, ani elfka nie ruszyli się z miejsca.

– Zapewne ma swoje powody. Byłeś żołnierzem, Kajetanie? – spytała Anna Naa'Maar, a on poczuł się jak uczeń na przesłuchaniu w sprawie jakiegoś szkolnego wykroczenia. Bał się i denerwował, lecz jednocześnie chciał odpowiadać długimi zdaniem, dodać coś od siebie, zrzucić winę na innych. I pragnął, by pytano go dalej.

– Tak, oglądałem straszne rzeczy.

– Dziś w nocy widziałeś mnie w trakcie pracy. I grafa. Tamte rzeczy były straszniejsze?

– Niektóre tak. A niektóre piękniejsze.

– Wędrowałeś po krainach po obu stronach Horyzontu?

– Tak, badam je i opisuję, dlatego jestem geografem.

– Ale szukasz czegoś innego, prawda? – Teraz spojrzała mu prosto w oczy. Znów poczuł uderzenie gorąca. Potem Anna Naa'Maar przeniosła wzrok niżej, a Kajetan odruchowo przykrył prawą dłonią wiszący na szyi Klucz Przejścia.

– Tak, wciąż szukam.

– Zatem życzę ci powodzenia. Jeśli nie możesz na mnie poczekać, to ruszaj w drogę, ale... – zawiesiła głos, jakby się nad czymś zastanawiając albo szukając w pamięci potrzebnych faktów. – Ale myślę, że to nie jest nasze ostatnie spotkanie.

Uśmiechnęła się. Na chwilę z jej oczu i twarzy zniknęła powaga, zaduma istoty niosącej mroczne tajemnice. W tym uśmiechu była pewność, że to, co ma nastąpić, będzie dobre i przyjemne. Taką ją wtedy zapamiętał Kajetan. Elfkę o twarzy szczęśliwej nastolatki, której bali się nawet jej współbracia.

6.

Aktualnie na odcinku Zielona Góra – Jomsborg Odra płynęła korytem biegnącym kilkadziesiąt kilometrów na zachód od starorzecza. Wielka wojna zmieniła geografie środkowej Europy. Atlantyk zatopił Danię i północne Niemcy, wypiętrzyły się nowe góry, wyschły stare rzeki. Stanica Korniejewo znajdowała się w okolicy dawnego niemieckiego Zechina. Najbliższą większą cywilną osadą, niemal pięćdziesiąt kilometrów na wschód, był gródek w Witnicy, strzeżony, tak jak osiemset lat temu, przez zakon templariuszy. Dwie trzecie tej drogi biegło przez lasy i ugory, tereny zamieszkałe przez rzadką, a stanowiącą bezpośrednie zaplecze strefy frontowej. Prawdziwa Polska zaczynała się za twierdzą Gorzów, jednym z najważniejszych węzłów obronnych zachodnich Kresów. W drugą stronę dzikie tereny ciągnęły się aż do Łaby, wyznaczającej granicę państwa barlogów.

Od blisko trzydziestu lat panował tu względny spokój, choć ludzie i elfy systematycznie przesuwali swe władztwo na zachód, a wojenne zagony czarnych wbijały się czasem w głąb kraju, kilkakrotnie nawet na przedpola Gorzowa.

Szeroki trakt początkowo wiódł przez liściastą puszczy i Kajetan bardzo lubił ten fragment trasy. Chyba najbardziej w maju, kiedy las budził się do życia. Rosły tu jarzębiny, kwitnące wtedy biało-żółtymi kwiatami dającymi silny migdałowy zapach, brunatne kasztanowce, jasnoszare kaliny, trafiały się klony i lipy.

W regularnych odstępach nad traktem piętrzyły się potężne dęby, posadzone przed laty dla wzmocnienia aury. Otoczone płotami z kutego mosiądzu, z kapliczkami przymocowanymi do pni, z mosiężnymi runami wbitymi w korę, miały blokować czarnych geomantów, a w razie potrzeby dawać moc polskiemu wojsku. I najwyraźniej wiele dębów wypełniło swe zadanie w przeszłości, bo wzdłuż drogi stały też wypalone kikuty starych drzew, trafiały się i pnie skamieniałe, zamienione w bursztyn, metal lub kość. Zwykle obok rosły już nowe, młode drzewka, posadzone przez obeliksów i przez nich dogładane.

Ale wędrowiec mógł natknąć się na jeszcze inne miejsca, wypalone ludzką lub elfią ręką. Betonowe czapy, często wysprajowane ochronnymi graffiti, przykrywały korzenie drzew, które nie wytrzymały presji barlogów i przemieniły się w ich sługi. Wzmacniały magię czarnych, przekształcały geografie okolicy, atakowały podróżnych. Drzewa takie wypalano do korzeni ogniem i magią, księża je egzorcyzmowali, geomanci odprawiali elfie rytuały. Potem oddziały saperów i myśliwych wchodziły w las – ludzie z terkoczącymi licznikami, elfy z pierścieniami mocy – w poszukiwaniu skażonych żołądździ, zwierząt, które mogły je zjeść, i siewek czarnych dębów.

Przez cały dzień Kajetan spotkał jedynie dwa małe konwoje zdążające do Korniejewa. W pierwszym jechało paru kupców prowadzących załadowane wozy i objuczone konie. Wybierali się nie tylko do samej bazy, ale też do wsi i osad leżących na zachód od niej, tak więc informacje o ostatnim szturmie czarnych mocno ich zaniepokoiły. Rzecz jasna, nie zrezygnowali z dalszej podróży. Najlepsze zyski osiąga się wszak wtedy, gdy jest niebezpiecznie.

Kilka godzin później wyminął Kajetana oddział szaserów. Ci nie zwolnili nawet, to geograf musiał im ustąpić drogi, zresztą zgodnie z panującymi na trakcie zasadami. Wojsko przodem!

Teraz jednak nic ciekawego nie działo się na szlaku. Lipcowe słońce przyjemnie grzało twarz, w gałęziach drzew trwał ptasi harmider, gdzieś niedaleko cierpliwie pracowały dwa dziecięcy. Tak, Kajetan lubił ten fragment drogi, bo dopiero to właśnie miejsce, a nie Korniejewo, wydawało mu się zawsze pierwszym kawałkiem wolnego, bezpiecznego świata. Do stancy wracał po tygodniach pobytu na rubieżach, po penetracjach krain za Horyzontem, po walkach, które musiał stoczyć. Bez wątplenia mógł tam odpocząć i czuć się bezpieczny, nawet jeśli zdarzały się takie sytuacje jak wczorajszej nocy. Jednak Korniejewo było bazą wojskową, rozrastającą się już wprawdzie w cywilną osadę, ale wciąż żyjącą w bojowym reżimie, estetyce i celu. Śmierdziało tam smarem pancernych wozów, końskim łajnem i magią czarnych. Dopiero tutaj

zostawiał to wszystko za sobą. Wierzchowiec szedł powoli, drzewa szumiały, czasem przez trakt przebiegł szarak albo poderwał się ptak.

W regularnych odstępach na poboczu stały zbite z drewna zadaszenia, stoły i ławy, często z wkopanymi w ziemię pompami. Obok wielu z nich znajdowały się puste place zryte kołami i gąsienicami zatrzymujących się tu pojazdów. Mniej więcej co dziesięć kilometrów parking był jeszcze większy, a jego zabudowę uzupełniały cysterny na wodę oraz składziki węgla i drewna dla parowych ciągników, które często woziły na tej trasie zaopatrzenie.

Na krótkich odcinkach droga wyłożona była betonowymi płytami. Wtedy łagodny chód konia zamieniał się w pospieszny stukot kopyt, jakby zwierzę chciało jak najszybciej znów znaleźć się na miękkiej ścieżce.

Tak, dopiero na tym szlaku Kajetan czuł prawdziwie, że właśnie kończy kolejną wyprawę, że znów jest bezpieczny, że wraca do miejsca, które było jego domem od ponad dwudziestu lat, do Warszawy.

Przysypiał w siodle, więc nie zwrócił uwagi na pierwszy impuls z azymuletu. Drugi, mocniejszy sygnał – jakby dotknął nadgarstkiem czegoś bardzo ciepłego – obudził Kajetana w pełni. Odruchowo poprawił sakwy na końskich bokach, zlustrował broń. Nie spodziewał się tu żadnego zagrożenia, ale nawyki z długich tygodni przebywania w mniej bezpiecznych miejscach wciąż działały.

Kilka minut później po przejechaniu łagodnego zakrętu zobaczył ludzi krzątających się na poboczu drogi. I oni spostrzegli Kajetana, przerwali pracę, dwóch wyszło na szlak, przerzuciwszy broń z pleców. Trzeci został, cofając się nawet w głąb lasu, by zająć lepszą pozycję strzelecką. Zachowywali się spokojnie. Nieraz spotykali na szlaku wędrowców, czuli się tu bezpiecznie, ale woleli przestrzegać regulaminu.

Kajetan podjechał bliżej. Teraz dostrzegł obok drogi betonowy sześcian wymalowany znakami ochronnego graffiti. Konstrukcja była nowa – zdeptana i zryta kołami koparek ziemia wokół betonowego klocka nie porośla jeszcze trawą i krzakami, farba na jego powierzchni lśniła świeżością. Drewno, z którego zbudowano stojącą obok niewielką kapliczkę z mało raczej udanym Jezusem frasobliwym, jeszcze nie poczerniało.

Wcześniej w tym miejscu, o ile dobrze pamiętał Kajetan, stał dąb geomancyjny. Najwyraźniej potężne drzewo, które przetrwało wielkie bitwy sprzed kilkudziesięciu lat, w końcu uległo jakiemuś zagonowi jęgrów albo fali magii płynącej wraz z takim atakiem.

– Stój! – jeden z żołnierzy potwierdził komendę, podnosząc ramię, lecz w jego głosie i postawie nie dało się wyczuć napięcia. Na pewno zdążyli już przeskanować Kajetana i sprawdzić jego aurę. No, ale procedura to procedura i musieli ją przeprowadzić.

– Zsiądź z konia i okaż dokumenty – powiedział drugi, młody, jasnowłosy podporucznik w połowym mundurze z dystynkcjami służb geomancyjnych. Na piersi dyndała mu upstrzona farbą przezroczysta maska używana w czasie sprajowania.

– Witam! – uśmiechnął się Kajetan, zeskoczył z wierzchowca, z kieszeni kurtki wyjął plastikową kartę identyfikacyjną. Żołnierz wyciągnął rękę, teraz dopiero zorientował się, że wciąż ma założone upačkane farbą rękawice. Mruknął coś pod nosem, najpewniej niegrzeczną uwagę wobec samego siebie, ściągnął je, podał koledze i odebrał od Kajetana ajdi. Przesunął plastikową kartę nad prawym nadgarstkiem, w zasadzie nad czujnikiem wszytym w rękaw munduru. Przeczytał wyświetlający się na tymże rękawie krótki komunikat potwierdzający tożsamość Kajetana. Spojrzał na wędrowca uważnie, jakby szukając w jego oczach potwierdzenia, że to, co zobaczył, jest prawdą. Miał oto przed sobą niewiele od siebie starszego cywila, którego karta oznaczona była jednak najwyższymi priorytetami dostępu, a status umożliwiał przejęcie komendy i wydawanie rozkazów nie tylko jemu, podporucznikowi wojsk geomancyjnych, ale i dowódcy podporucznika, jak również dowódcy dowódcy. A i pewnie nie na nim kończyła się ta drabina zależności. Ten człowiek pracował bezpośrednio dla hetmana wielkiego koronnego.

Podporucznik postanowił jednak nie dać po sobie poznać, jakie wrażenie zrobił na nim ajdi Kajetana.

– W porządku – powiedział spokojnym głosem, oddając kartę. – Dziękuję.

– Dużo wędrowców? – spytał Kajetan.

– Nie, jest pan pierwszy od wczoraj – odparł dowódca patrolu. – To znaczy w stronę Polski, bo na Korniejewo szło kilka kolumn. No ale te pan pewnie widział.

– Obozujecie na parkingu?

– Tak, z kilometr stąd...

– Będzie wam przeszkadzać, jeśli do was dołączę? I tak zamierzałem się zatrzymać w ciągu godziny, a w kilku zawsze bezpieczniej.

Podporucznik zawahał się, nie był pewien, czy chce mieć tuż obok siebie tak dziwną osobę. Ale, rzecz jasna, nie mógł się nie zgodzić, pytanie Kajetana było tylko kurtuazyjne. Na szlaku wszyscy mogli korzystać

z miejsc parkingowych, a ci, którzy wędrowali w prawdziwie sekretnych misjach, i tak nie zatrzymywali się w takich miejscach.

– Oczywiście – odpowiedział więc, a po chwili dodał: – Możemy nawet tam jechać razem, robotę na dziś w zasadzie skończyliśmy.

Odwrócił się w stronę pobocza i krzyknął:

– Janek, zbieramy się!

W krzakach zaszurało, zaszeleściło i na drogę, dopinając kaburę, wyszedł ostatni z geomantów. Ten też miał całe dłonie w farbie.

– No i dobrze, bo zgłodniałem jak diabli – powiedział, nie przejmując się najwyraźniej obecnością obcego.

Żołnierze przez kilka minut pakowali sprzęt. Podporucznik, który, jak się okazało, miał na imię Michał, zdemontował stojący obok betonowego sześcianu miernik aury. Urządzenie wysokie na półtora metra, kształtem przypominało dziewiętnastowieczny aparat fotograficzny, tyle że z dokręconą na czubku małą anteną satelitarną. Po złożeniu teleskopowych nóg i sferycznej czaszy dawało się zapakować do niewielkiego plecaka.

Ów Janek, także w stopniu podporucznika, wytargał z krzaków sporą skrzynkę i zaczął wkładać do niej puszki sprajów i szablony runów. Magiczne znaki musiały być malowane idealnie według wzorców. Nawet drobna pomyłka – złe postawienie kropki czy zawijasa – mogło wypaczyć znak elfów i wygenerować czar o niespodziewanych, czasem wręcz przeciwnych pierwotnemu celowi konsekwencjach.

Trzeci z żołnierzy, Piotr, był podchorążym Wojskowej Akademii Technicznej w Warszawie na wakacyjnych praktykach. Jemu więc przypadła w udziale najgorsza część pracy – posprzątanie po kolegach oraz dźwiganie wielkiego plecaka, którego zawartości Kajetanowi nie udało się poznać. No, a kiedy dotarli do obozowiska, to on właśnie wziął się za przyrządzanie posiłku. Zmierzchało.

Było na tyle ciepło, że żołnierze patrolu nie rozstawiali namiotów – spali w śpiworach pod jedną z drewnianych wiat parkingu, najsolidniej zbudowaną, ze świeżymi śladami łatania i naprawiania. Parking nie był duży, składał się ledwie z trzech takich drewnianych pół budynków.

Stała tu niedawno zbudowana komórka mająca pełnić funkcję łazienki, a w krzakach pobłyskiwała sławojka, pomalowana przez jakiegoś dowcipnisia na wściekle pomarańczowy kolor. Pomiedzy wiatami, również pod niewielkim zadaszeniem, zmontowano solidne palenisko, stół i ławy. Tuż obok znajdowała się mała żółta skrzynka z końcówką sieciową. Kabel biegł pod ziemią aż do samego Korniejewa, specjalnym oprzędem osłonięty przed wpływem i wody, i magii.

Kajetan zajął się koniem. Zdjął i odstawił na bok kulbakę. Ściągnął mokrą derkę, rozłożył ją na trawie, żeby wyschła. Poklepał konia po szyi. Z mantelzaka wyjął kostkę cukru i dał siwkowi, który skwapliwie skorzystał z poczęstunku. Teraz Kajetan uważnie sprawdził kopyta wierzchowca. Na szczęście wszystko było w porządku. Przeprowadził konia do poidła, jeszcze raz poklepał po karku.

Teraz mógł się zająć sobą. Zrzucił koszulę, buty i spodnie, po czym napełnił wodą wiadro. Zatargał ciężki cebrzyk do niby-łazienki – budki z sosnowych bali, tak ciasnej, że wewnątrz nie dało się rozłożyć rąk. Na szczęście ktoś rozumny zbudował ją na kamiennej podmurówce, więc w środku nie było błota. Ba, na małej półeczce leżała nawet na wpół zużyta kostka szarego mydła. Kajetan zdjął bokserki, opłukał twarz i ramiona, po czym chlusnął na siebie całą zawartość wiadra.

– Cholera jasna! – przeklął swoje zamiłowanie do higieny, gdy lodowata woda spłynęła po plecach i nogach. Szybko wciągnął spodniki. Parskając i otrząsając się jak pies po długiej kąpeli, podszedł do ognia.

Trzej młodzi żołnierze już tam siedzieli, wpatrzeni niby to w płomienie, a tak naprawdę w ustawiony nad nimi kociołek, z którego smakowicie parowała pomidorowa zupa.

– Nigdy nie widziałem takich bojowych tatuaży – powiedział Jan, nie odrywając wzroku od ognia.

– A dużo ich widziałeś? – spytał spokojnie Kajetan.

– Jestem malarzem geomantą. Uczę się wzorów. Masz na sobie potężne znaki – żołnierz uznał, że i on może przejść z Kajetanem na „ty”. – Pracujesz bezpośrednio dla hetmana. Jesteś magiem? Elfoczłkiem? Czy walczyłeś na wschodzie?

– Jestem geografem.

– A nie mówiłem! – powaga zniknęła z głosu Jana, wyraźnie triumfował nad kolegami. – Dawajcie po dyszce! No, panowie, szybciućko, po dziesiątaczku!

– Był pan za Horyzontem? – dowódca oddziału, Michał, nie zdecydował się na spoufalenie.

– Trzydzieści siedem razy – powiedział Kajetan. A po chwili milczenia dodał: – A w zasadzie trzydzieści osiem. Ale od razu uprzedzam, nie usłyszycie ode mnie niczego więcej.

– A w tych sakwach masz... – Janek nie ustępował.

– To, co myślisz. I jeszcze więcej. Ale nie bądź wścibski i nie dotykaj. A nawet się nie zbliżaj do moich bagaży. Chyba że chcesz zostać sparaliżowany na następne czterdzieści osiem godzin, a później stanąć do karnego raportu.

Michał uśmiechnął się, a Jan przez chwilę taktycznie pomilczał, a potem pogonił podchorążego.

– No, młody, nalewaj już tę pyszną zupkę, bo mi w brzuchu tak burczy, że słyszy mnie chyba sam król barlogów w Monachium.

Jedli w milczeniu i szybko, jakby bojąc się, że zabraknie dokładki. Żołnierze poczęstowali Kajetana chlebem, on odwdzieczył się dobrą, mocną kawą z termosu. Wraz z nadejściem zmroku zrobiło się chłodniej, więc przysunęli się bliżej ognia. Co dziesięć minut jeden z geomantów wstawał i ruszał na krótki obchód, by sprawdzić pieczęcie na totemach ochronnych otaczających parking. Kajetan docenił to. Pozornie wyluzowani, młodzi żołnierze nie zaniebdywali obowiązków. Nie była to czujność na pokaz, Kajetan zbyt wiele czasu spędził w wojskowych obozowiskach, na zwiadowczych wyprawach i samodzielnych podróżach, by nie dostrzec pozornie drobnych, ale istotnych oznak potwierdzających wyszkolenie i dyscyplinę. Sposób, w jaki usiedli przy ogniu, trzymali broń, bez słów i ponagleń ruszali na kolejne patrole, dobrze świadczył o ich wyszkoleniu i zgraniu, nawet jeśli jeden z nich był tylko praktykantem na treningu.

– A wy co tu porabiacie? Front daleko, czarni tu nie dochodzą. – Gdy Jan ruszył na obchód, Kajetan przysunął się bliżej Michała.

– Był wypadek, trzy miesiące temu. Właśnie ten dąb, przy którego sarkofagu nas pan spotkał. Czarna infekcja. Barlogi udoskonalały złowady. Zaatakowali na północ od Korniejewa. Jęgrzy zostali odparci, jednak kilka bojowych rojów przedarło się przez granicę. Większość wydziobały nasze ptaki, rzecz jasna. No ale niektóre dopadły drzew. Widział pan kiedyś te ich kleszcze? Małe, czarne, latają rojami po kilka tysięcy sztuk. Potrafią kodować coraz bardziej złożone zakłęcia. Niszczą i menhiry, i drzewa.

– Ten teren jest stabilny? Szlak na Korniejewo nie zmienił się, odkąd tu bywam.

– To wymaga ciągłego umacniania, sadzenia nowych drzew. Na pewno słyszał pan, że w Polsce działy się dziwne rzeczy. No! – Zamilkł na chwilę, zbierając słowa. – Więc te robale dotarły aż tutaj, przeżarły drzewo, wypaczyły je i dodały tak potężnej mocy, że droga zaczęła się zapadać. Nasi interweniowali od razu, lecz dębu już nie zdołali uratować. Wypaliliśmy je do korzeni, a ze stu ludzi szukało w okolicy czarnych żołądździ i siewek. Znaleźliśmy też kilka skażonych lisów. Potworny widok. – Michał aż się wzdrygnął na to wspomnienie. – Nie mieliśmy ze sobą elfów, więc roboty było sporo. Potem zaplombowaliśmy skażone miejsce betonem. No i dyżurujemy tu regularnie. Odnawiamy wypalone runy na plombie, bo tam ziemia ciągle promieniuje czarną magią i farba płowieje. A przy okazji patrolujemy ze dwadzieścia kilometrów drogi. Niby nic się tu nie dzieje, ale roboty sporo.

– Czemu was tak mało? To długi odcinek dla małego patrolu.

– Ha! – Michał dał Kajetanowi do zrozumienia, że docenia jego troskę. Zaraz jednak spoważniał. – Bo wojna idzie, tak myślę. Więc całe wojsko poszło na obsadzenie kresowych stanic albo cofnięto je na granicę Polski.

– I dlatego po drogach łążą patrole poruczników i chorążych – dodał Janek, który właśnie wrócił z obchodu i stanął za plecami rozmówców. – Znaki były w Polsce, pewnie to już wiesz. Wielka inżynieria geomancyjna zaczyna się na Kresach, to także pewnie zauważyłeś. No i barlogi się burzą. Bo jak już postawimy te wszystkie menhiry, to stracą kawał terenu. Myślę, że na to nie pozwolą. Zbierali siły przez tyle lat, hodowali jęgrów i nowe złowady. I pewnie ich się tu jeszcze więcej nalazło z zaświatów. Mówię wam, ruszą na nas jeszcze w tym roku! Ale najbliższy miesiąc minie nam spokojnie! Możemy się założyć, ja zawsze wygrywam!

Nieco później, gdy Kajetan kładł się spać, słowa młodego podoficera wciąż dźwięczały mu w uszach. To samo mówili ludzie w Korniejewie. To samo wyczytywał z twarzy elfów. Wojna. Nadchodzi wojna. Kiedy usnął, nie dręczyły go żadne koszmary.

Obudził się w środku nocy. Usiadł na posłaniu, zlustrował wzrokiem otoczenie. Konie posapywały cicho, z oddali dobiegało pohukiwanie sowy. Ciemny kształt – pewnie nietoperz – przemknął nisko nad obozowiskiem. Kajetan chwilę szukał wzrokiem strażnika, w końcu dostrzegł cień przesuwaną się na granicy lasu, ale nie potrafiłby powiedzieć, który z młodych żołnierzy trzymał właśnie wartę. Spojrzał na zegarek – wpół do trzeciej. Środek nocy. Trzeba spać, bo jutro kolejny męczący dzień. Trzeba spać.

Poprawił posłanie, zwinął służący za poduszkę koc. Położył się, wsuwając pod niego prawe ramię. Zawsze zasypiał z ręką pod głową, co kończyło się czasem przykrym odrętwieniem i chwilowym bezwładem. Kajetan usnął ponownie bez większych problemów.

Tym razem dopadły go koszmary, a obudziło dobiegające z daleka wołanie o pomoc Anny Naa'Maar.

7.

Kiedy pędził przez las, wciąż słyszał w głowie jej głos. Jakby senne wezwanie zostawiło w jego mózgu znacznik wskazujący właściwą drogę. Nie znał szczegółów, nie widział wyraźnych pejzaży, nie potrafił ostro

odróżnić otrzymanej wizji od swoich wyobrażeń. Jednak to nie rozum go teraz prowadził, a instynkt, niczym laserowy wskaźnik wyznaczający trasę i cel. Wciąż słyszał krzyki ze snu – ostrzegawcze zawołania ludzi, bojowe zaklęcia elfów, wrzask atakujących jegrów i jęk ich wierzchowców, niczym kamień trący o szkło. Widział obrazy, zastygłe w bezruchu zdjęcia, półsekundowe fragmenty ruchu, poszatowane pikselozą i wynaturzone płynnymi odkształceniami. Sceny walki, śmierci ludzi i elfów. Rozpad jegrów.

Widział też, jak miedziana skrzynia zrywa przykuwające ją do wozu pęta, unosi się w powietrzu, pokrywa siecią pęknięć, rozpryskuje.

Jak wynurza się z niej ciemny kształt.

A potem śmierć, śmierć, śmierć, padają kolejni ludzie i elfy z Zakonu Łabędzia zasłaniający swą panią, śmierć, śmierć, śmierć. Z lasu wyjeżdżają wciąż nowi jegrzy.

Uciezka, pęd, gałęzie drzew łamiące się na ochronnym polu otaczającym Annę Naa'Maar i jej wierzchowca. Cień za plecami. Czary gubiące, zamazywanie drogi, pęd, wciąż pęd.

Anna Naa'Maar uciekała przed pościgiem, rozpaczliwie wysyłając całemu światu mentalne SOS. Drogę do Korniejewa miała odciętą. Musiała zagłębić się w las. Liczyć, że ktoś ją tu wesprze.

A tu był tylko on i trzech młodych chłopców, którzy w walce z jegrami nie mieli najmniejszych szans.

Pędził więc na spotkanie, a wewnętrzny radar mówił, że jest coraz bliżej. I jednocześnie – że barlogi przełamały granicę Polski. Kajetan, geograf, tropiciel szlaków, czuł, że świat wokół niego płynie, że wymiary pęcznieją i zapadają się, że lokalne horyzonty zdarzeń odcinają przestrzeń, a śpicie magii elfów i barlogów tworzy nową geografie pogranicza. Ziemia przy tym nie dygotała, drzewa się nie waliły, nie pękały kamienie. Wszystko działo się płynnie, bez punktów nieciągłości, w milczeniu.

Tylko moc mentalnej nici rozpiętej przez Annę Naa'Maar sprawiała, że wciąż znajdowali się w tym samym obszarze przestrzeni i że mieli szansę się spotkać. I nie byli tu sami.

Ciemność nocy ustępowała już świtowi, ale nawet tego nie zauważył. Nie wiedział, gdzie jest, nie obmyślał trasy. Jakby pędził środkiem zielonego wiru liści, rury ozebrowanej wygiętymi pniami. Szlak giął się, umykał na boki. Czasem w jego środku wyrastało groźnie drzewo, które zmuszało wierzchowca do gwałtownych manewrów, a jeźdźca do osłonięcia ramieniem twarzy przed poharataniem o roztrzęcane gałęzie. Czasem zdawało się, że leśny tunel zaraz się skończy, urwie gwałtownie, ale nie – gdy byli już blisko krawędzi, rura wydłużała się, rosła, kierując ku niewidocznemu celowi. Kajetan, prowadzony głosem Anny Naa'Maar, budował ten szlak przez puszcze przekształcaną teraz płynami wrogich mocy.

Kajetan próbował wezwać pomoc przez radio, uaktywnił też azymulet, śląc w przestrzeń memy SOS. Na próżno.

A potem liściasty wir zwolnił, drzewa zaczęły się prostować i na powrót wypadli w normalną przestrzeń. Zmęczony wierzchowiec już zwalniał, charczał w biegu, piana płynęła po jego bokach. Potknął się raz i drugi. Zbyt nisko skoczył nad przewróconym drzewem, tak że suche gałęzie porysowały jego bok. Lecz biegł dalej, posłuszny jeźdźcowi i mocy szkolenia, które przed laty przyjął od elfów i ludzi.

Byli już niedaleko. Tuż-tuż.

8.

Kajetan zeskoczył z konia i stanął na skraju lasu. Przed sobą miał łąkę pokrytą wysoką trawą, gdzieniegdzie kępami krzewów. Linia drzew grodziła ją ostro, bez żadnego płynnego przejścia, co mogło świadczyć, że nie sama natura wykroiła z puszczy ten równinny kawałek ziemi. Trawiasty pas ciągnął się w obie strony po linię horyzontu, jego środkiem płynęła Komarka, rzeczka na tyle płytka i wąska, że nikt na niej nie budował mostów. Od miejsca, w którym stał Kajetan, było do niej może ze sto kroków. Trzy razy tyle dzieliło przeciwny brzeg rzeki od granicy lasu po drugiej stronie.

Stamtąd właśnie szedł ten impuls magii i smród jegrów. Już wkrótce wyjaśniło się dlaczego.

Oto ściana lasu po drugiej stronie rzeki rozwarła się na chwilę, niczym wrota wypuszczające z domu gości. Jeden po drugim wypadły z niej trzy białe wierzchowce. Konie były zmęczone długim biegiem, ale gdy wreszcie zobaczyły przed sobą wolną przestrzeń, wykrzesaly resztki sił i wyraźnie przyspieszyły.

Grupę prowadziła Anna Naa'Maar, nisko pochylona w siodle, z rozwianymi włosami, krwawym śladem na policzku. Z tyłu, wyraźnie ją osłaniając, galopowało dwóch elfów z przybocznej straży. I oni byli zmordowani, a jeden trzymał wodze tylko prawą ręką, lewą – najwyraźniej zranioną – przyciskając do boku. Nie oglądali się za siebie, ale nad ich głowami sunął sokół-zwiadowca, który co chwila zataczał kręgi i głośnym krzykiem meldował elfom swoje obserwacje.

Nim jeźdźcy przebyli połowę drogi dzielącą ich od rzeki, las otworzył się ponownie. Ruch był wyraźniejszy, ostrzejszy, jakby drzewa z ulgą rozchyłały gałęzie, by wypluć coś, co sprawiało im ból. Jegrów.

Na łąkę wyskoczył najpierw jeden, potem trzech naraz, potem jeszcze czwórka. Chwilę później kolejnych trzech. Czarne wierzchowce o pajęczych nogach bardziej skakały, niż biegły, w nierównym rytmie, niczym wielkie insekty. Wyciągnęły do przodu bezokie łby, węchem szukając tropu uciekinierów. Skórne kołnierze na ich szyjach naciągnęły się, odsłaniając zębate pyski o czterech ruchomych szczękach.

Jegrzy siedzieli w siodłach prosto i sztywno, jakby nierówny pęd koni nie robił na nich najmniejszego wrażenia. Ich czarne peleryny furkotały niczym ptasie skrzydła, symbiotyczne robaki tkwiące w oczodołach lśniły purpurowym blaskiem, niektórzy śpiewali. Wokół każdego jeźdźca unosiła się chmura czarnych fagów.

Wypadli na otwartą przestrzeń, dostrzegli zbiegów i natychmiast sięgnęli po broń. Mroźny krzyk przeszedł przez łąkę.

Na ten rozkaz ciemne fagi zgęstniały, zwały się, tworząc czarne ptaki podobne do łabędzi. Te, jeszcze nie w pełni uformowane, pomknęły na spotkanie sokoła elfów.

Kilku jegrów zwolniło bieg swych wierzchowców, sięgnęło do sajdaków po krótkie łuki. Załadowali je błyskawicznie i z każdego trysnął rój pierzastych strzał.

Ale elfy już chwilę wcześniej pojęły, że nie umkną pościgowi. Gdy tylko przejechały przez strumień, wstrzymały zmęczone wierzchowce i zawróciły. Dwaj żołnierze stanęli z przodu, osłaniając Annę Naa'Maar. Błysnęły srebrem wyciągane z pochew miecze. Elfka, nieco cofnięta, nie dobyteła broni. Skuliła się w siodle, przeżegnała, złożyła dłonie i rozpoczęła modlitwę. I czary.

Ze strumienia w mgnieniu oka podniosła się wodna tafla, przezroczysta osłona oddzielająca dwa brzegi rzeki. Wydawała się niezwykle cienka, wyraźnie widać przez nią było szturmujących jegrów, ale wstrzymała wszystkie czarne strzały, które w nią trafiły. Wchodząc w nią, topiły się, rozpuszczały i ciemnymi smugami spływały w dół, do rzeki. Także jeden z czarnych niby-łabędzi nie zdołał poderwać się w górę. Uderzył w zaporę i bezgłośnie się w niej rozplynał.

W nozdrza obserwującego to wszystko Kajetana uderzyła fala smrodu – pośmiertnego krzyku ptaka.

Trzy pozostałe łabędzie już zwały się z sokołem, walcząc o to, kto zdoła narzucić swą magię ponad polem walki.

Nie było na co czekać. Kajetan sięgnął po markebus. Przeładował właściwy pocisk, wyszeptał słowa zaklęć, przyłożył broń do ramienia i nacisnął spust. Rozległo się ciche „puch!” i z lufy wystrzeliła garść czerwonych, czarnych i białych farfocli, tak jakby karabin był karnawałową zabawką do strzelania konfetti. Ale nie był. Zaklęcie formujące zaczęło zbierać farfocle w jeden kształt, wydłużony, aerodynamiczny, długodzioby. Kajetan nie czekał, aż ptak uformuje się w pełni, załadował drugi nabój i strzelił ponownie.

Odłożył markebus i sięgnął po sztucer. Kiedy brał na cel pierwszego jegra, dwa bojowe bociany już dotarły nad pole walki, wspierając sokoła elfów.

Kajetan strzelał raz za razem, starając się wykorzystać to, że wierzchowce jegrów zwalniały nieco, podchodząc do wody, by wyrównać rytm biegu przed skokiem przez przeszkodę. Trafiał często, ale większość pocisków rozpląwała się na polach ochronnych jegrów, znacząc tylko miejsca wyładowań tęczowymi smugami, niczym benzyna rozlana w kałuży. Wreszcie udało się umieścić pocisk celnie, dokładnie w wizurze lśniącej blaskiem symbiotycznego robaka. Trafiony w oko jegr zaskowyczał, jego wierzchowiec także zacharczał, potem ciała jeźdźca i konia rozprysnęły się na milion małych kropeł, a Kajetan poczuł smród śmierci.

Nie próżnowały i elfy. Wiedząc, że mają za plecami sojusznika, śmiało natarły na wyjeżdżających z rzeczki jegrów. Zadźwięczały miecze. Nad plecami elfów uniosły się siwe zjawy przodków, wyciągając ku jegrskim głowom mocarne ramiona.

Anna Naa'Maar wciąż tkwiła w siodle niemal nieruchomo, plotła swą magię, stawiając na rzece coraz to nowe zapory, blokując ruch jegrów, tak by jej towarzysze nie musieli się ścierać ze wszystkimi naraz przeciwnikami.

Pod mieczem elfa padł kolejny jegr, ale pozostali już przedarli się przez rzekę. Chcieli objechać elfów, otoczyć ich. Zakotłowało się, strażnicy próbowali osłaniać Annę Naa'Maar, ale w końcu i ona sama dobyteła broni.

Strzelanie w ten wirujący kłęb ciał – jegrów, elfów, koni, duchów – mogło przynieść więcej szkody niż pożytku. Kajetan odrzucił sztucer. Lewą ręką sięgnął po peem, prawą po miecz. Z bojowym krzykiem runął ku walczącym.

Jeden z jegrów oderwał się od bitewnego kłębowiska, skoczył ku Kajetanowi. Czarny wierzchowiec zakwiczał, z jego pyska wytrysnął trujący dym, który zabiłby lub przynajmniej sparaliżował zwykłego człowieka. Ale Kajetan nie był zwykłym człowiekiem. Poczuł tylko lekkie szczypanie oczu i mdły zapach wdzierającego się do płuc gazu. Spokojnie poczekał na nadjeżdżającego jegra, poderwał w górę peem, wycelował i palnął prosto w łeb wierzchowca. Pociski rozprysnęły się na magicznym czapraku konia, ale ogłuszyły go wystarczająco, by zarwał krok i zmienił tempo. Jegr machnął mieczem, ale bez szans na

trafienie. Kajetan zrobił unik i sam chlasnął czarnego jeźdźca w ramię, po czym odskoczył w bok, by nie przygniotło go padające cielsko.

Skowyt, czarne krople, smród.

Kajetan natychmiast poderwał się, szukając kolejnego celu. Ale celu nie było.

Skażoną ziemię pokrywały czarne, smołowate plamy. Wierzchowce elfów stały obok siebie, a Anna Naa'Maar podtrzymywała swego towarzysza, najwyraźniej rannego. Trzeci elf podjeżdżał właśnie do strumienia, uważnie obserwując las po przeciwnej stronie, wypatrując tam kolejnych napastników.

Sokół kołował nad ich głowami, wykrzykując swój triumf, a dwa bojowe bociany, doskonały wyrób fabryki broni w Radomiu, właśnie rozpływały się w powietrzu po wykonaniu zadania.

– Szybko! – powiedział Kajetan, wsuwając miecz do pochwy. – Musimy ukryć się w lesie. Drzewa są dobre. To polski las.

9.

Wydawało się, że nocny zmrok zapada szybciej, niż powinien. Słońce osunęło się już nisko, pod korony drzew, cienie wydłużyły, liście ściemniały. Pojawiła się mgła, początkowo płynąca przy powierzchni ziemi, szybko jednak podnosząca się i wpełzająca między pnie. Konie elfów przyjmowały to wszystko spokojnie, ale sokół nerwowo krążył nad jeźdźcami, nie oddalając się zbyt od nich, jakby bał się sam zapuszczać w ciemność lasu. On, władca otwartych przestrzeni, szybownik i wojownik, musiał przemykać między rozcapierzonymi konarami i krążącymi wirami mokrej mgły.

Może to były złudzenia, może nie działo się nic dziwnego, a tylko zmęczenie i przeżyte niebezpieczeństwa sprawiały, że wędrowcy czuli niepokój. Jednak wcześniejszy zmrok i cień na puszczy mogły też oznaczać coś naprawdę groźnego – przełamanie polskich linii obronnych i napłynięcie nad te tereny frontu czarnej magii przygotowującej nadejście barlogów i ich sług.

Najgorsze zaś było to, że Kajetan tak naprawdę nie wiedział, gdzie się aktualnie znajdują. Bezskutecznie próbował odszukać jakieś znajome elementy terenu. Czasem wstrzymywał konia, by określić dokładnie położenie. Próbował dostroić eteralne kompasy do linii wodnych cieków, ale azymulet nie dawał żadnych odczytów. Tym bardziej rosła w nim obawa, że barlogi ruszyły z poważnym kontrnatarciem, struktura terenu istotnie się zaburzyła, a szlaki, kierunki świata i znaki topograficzne zostały pomieszane.

Pomimo to wciąż podążali na wschód, a przynajmniej tak im się wydawało.

Za Kajetanem jechały dwa konie, niemal bok w bok. Na jednym pólleżał ranny w pierś elf. Tuż po potyczce, gdy Anna Naa'Maar opatrywała jego rany, drugi elf przebudował kulbakę towarzysza do pozycji transportowej. Z dala można by ją teraz wziąć za skrzydła pegaza odgięte do tyłu łagodnym łukiem. Ranny mógł leżeć bez obawy, że spadnie na ziemię, nawet gdy usnie albo straci przytomność. Elf był w złym stanie, gorączkował, majaczył. Miecz jegra przebił go na wylot, zatruwając ciało i sącząc w umysł trąd słabości. Anna Naa'Maar cały czas jechała obok. Wlewała mu w usta wodę, zmieniała opatrunki, próbowała wywabić złe fagi. Ale – jak sama powiedziała – tu potrzebny był dobry lekarz egzorcysta, który potrafiłby oczyścić i ranę, i myśli wojownika.

Straż tylną tworzył drugi elf. Na szczęście draśnięcia twarzy i ramienia nie okazały się zbyt groźne. Tyle że był zmęczony długą ucieczką, walką i złą aurą opadającą na świat. Co jakiś czas i on wymrukiwał ciche mantry, w których Kajetan rozpoznał kilka modlitw służących zamazywaniu śladów i utrudnianych tropienie. Oczywiście Kajetan znał je w prostszej, przystosowanej dla ludzi wersji.

Wszystko wydarzyło się wczoraj. Anna Naa'Maar, jej ochrona z Zakonu Łabędzia i oddział żołnierzy ruszyli w drogę jeszcze tego samego dnia co Kajetan, tyle że wieczorem. Prowadzili wóz ciągnięty przez cztery woły, wiozący dużą miedzianą skrzynię. A w niej – grafa. Osłabionego wielodniowym więzieniem i przesłuchaniami, spletanego czarami elfki, ogłuszonego siłą miedzi. Kontrwywiad chciał go mieć w Warszawie. Konwój nie minął jeszcze pierwszego parkingu, gdy nastąpił atak czarnych. Błyskawiczny i niespodziewany. Równocześnie Korniejewo powiadomiło ich o szturmie i nakazało przyspieszyć marsz, potem łączność się urwała. No a później pojawił się oddział jegrów liczący kilkudziesięciu jeźdźców. Elfy i ludzie podjęli walkę, być może nawet udałoby im się odeprzeć atak, gdyby nie to, że graf zerwał pętające go więzy i wyrwał się ze swego więzienia. Zaczęła się rzeź. Wielu elfów i ludzi umarło, aby Anna Naa'Maar mogła przebić się przez linie wroga i umknąć do puszczy.

Uciekinierzy stracili łączność, wkrótce okazało się, że ich tropem podąża pościg. Na słane przez elfy wezwania o pomoc Korniejewo nie reagowało. Zapewne zajęte było swoją walką, o ile w ogóle wciąż jeszcze się broniło. Dwa, trzy razy namierzali się wzajemnie z jakimiś polskimi granicznymi patrolami, równie zagubionymi, co oni sami, ale łączność szybko gasła. A to znaczyło, że las się zmieniał, że barlogi zaatakowały punkty geomancyjne i przejmowały kontrolę nad przestrzenią.

Na szczęście jedno z tych wezwań usłyszał Kajetan. I zdążył z pomocą.

Tyle zdołał się dowiedzieć z krótkiej rozmowy od wojownika Łabędzi. Anna Naa'Maar milczała, jeśli nie liczyć mantr medycznych i prób nawiązania łączności.

Kajetan spojrział na zegarek. Była druga w nocy, niebo czarne, a mgła i las skracały widoczność tak, że nawet przy delikatnym świetle latarki nie było widać dalej niż na kilka kroków. Mocne światło bali się włączyć.

Wstrzymał konia, poczekał, aż Anna Naa'Maar podjedzie bliżej.

– Pani, zatrzymajmy się tutaj na odpoczynek. Konie i my musimy odetchnąć, rannemu to się przyda, a drogi i tak szukamy teraz po omacku.

– Czy to dobre miejsce? – spytała cicho.

– Nie wiem, ale też nie wyczuwam żadnego zagrożenia. Tu jest wgłębienie terenu, spróbujmy się w nim ukryć, może nawet trochę rozgrzać.

– Mogą nas ścigać.

– Zapewne. Ale przecież prędzej czy później i tak będziemy musieli odpocząć. Lepiej, gdy to my wtedy będziemy wyspani, a nie oni. – Uśmiechnął się.

– To ty jesteś podróżnikiem, więc powinnam cię słuchać, prawda?

– A jeśli już nas nie będą tropić? Zdaje się, że osiągnęli to, czego chcieli. Odbili grafa.

Na twarzy elfki pojawił się smutny uśmiech, jakby na wspomnienie czegoś miłego i tragicznego zarazem.

– Tak, straciłam go. Wiesz, że już za nim tęsknię?

– Za kim? – nie za bardzo zrozumiał.

– Za grafem. Jego imię w waszym języku brzmi Kolor.

– Bardzo ładne, takie, powiedziałbym... plastyczne. A jaki to kolor? Czarny? Krwawy? Trupi?

– Po prostu Kolor. I nie żartuj z niego. Jest zły. Bardzo zły. I wiesz, czego się boję?

– No?

– Że on też tęskni za mną.

Po wilgotnej i czarnej nocy nadszedł ciepły poranek. Swoje małe obozowisko zlikwidowali jeszcze przed wschodem słońca. Ranny elf – Omar – wciąż nie odzyskał przytomności, choć gorączka nieco zelżała. Kajetan i drugi elf – ten z kolei nazywał się Domicjan – ostrożnie zapakowali go w ochronne siodło, po czym oddziałek ruszył w dalszą drogę. Kajetan nadal nie potrafił ustalić pozycji, ale wstające słońce jasno wskazywało kierunek podróży – wschód.

Anna Naa'Maar nadal wydawała mu się tajemnicza i odległa, nawet jak na elfkę. Jednocześnie czuł, że ten dystans się skraca. Warunki, w jakich wspólnie podróżowali, nie sprzyjały eleganckim formom. Jasny strój miała pognieciony i pobrudzony. We włosy zaplątały się sosnowe igły. Małą rację śniadaniową pałaszowała pospiesznie, z wyraźnym apetytem i bez cienia szlacheckiej dystynkcji.

Mógł wreszcie spokojnie przyjrzeć się jej twarzy, delikatnej, o charakterystycznym dla elfów kształcie migdała, ale o nietypowo łagodnym łuku brody, nie tak ostro zaznaczonych kościach policzkowych i dużych oczach oprawionych grubymi brwiami. Staranna do niedawna fryzura poległa w walce z wiatrem, gałęziami drzew i spaniem na poduszce z ramienia. Trefione włosy opadały na twarz i plecy w dużym nieładzie. Musiało ją to irytować, bo kilkakrotnie próbowała doprowadzić je do porządku, zaplatając w kok, który rozpadał się równie szybko, jak powstawał. Czoło i policzki elfki znaczyło kilka zadrapań.

O tak, mniej bacznego obserwatora nie miałoby problemu z zobaczeniem w niej młodej, pięknej dziewczyny o egzotycznej urodzie i nieco dziwnym, jak na podróżowanie po lesie, stroju. Lecz Kajetan potrafił dostrzec te drobne szczegóły, które sprawiały, że wciąż nie czuł się przy niej swobodnie. Poruszała się z elegancją i wdziękiem, ale jednocześnie z uwagą i czujnością. Jakby każdy ruch, krok, pochYLENIE ciała było znakiem wypowiedzianym w niemym języku, coś znaczyło i określało. Może – budowało ochronne limesy. Może – wzmacniało rezonanse aury leczące rannego. Może – sygnalizowało postronnym obserwatorom: mam moc, jestem silna, uważaj na mnie. W sposobie, w jaki składała zdania, zastęgała spojrzeniem na jakimś zupełnie nieciekawym elemencie terenu, milkła niespodziewanie, można było dostrzec czujność, lęk i – Kajetan uznał, że to najodpowiedniejsze słowo – tęsknotę.

W pewnym momencie przyspieszyła swojego konia i podjechała do Kajetana.

– A może powinniśmy tam poczekać? – spytała. – Z Gorzowa pewnie już idzie odsiecz, może samo Korniejewo przyśle kogoś po nas?

– Możemy tak zrobić. Zatrzymać się choćby i tutaj. Tylko... – Kajetan zawahał się, choć w zasadzie już podjął decyzję.

– Tylko co?

– To chyba nie jest dobry pomysł. Nie mamy gwarancji, że wasze wczorajsze SOS do kogokolwiek dotarło. Nie wiemy, czy Korniejewo nie padło. Może być tak, że Gorzów wcale jeszcze nie wie o ataku.

– To niemożliwe, musieli odebrać sygnały.

– Źle się wyraziłem. Jasne, że jeśli wokół Korniejewa trwają walki, to nasi mają te dane. Ale mogą nie mieć pojęcia, że twój, pani, konwój stamtąd wyruszył. I że został rozbity, i że ty jesteś w niebezpieczeństwie. Na dodatek ja naprawdę nie wiem, gdzie jesteście. Daj Bóg, że nie wpadliśmy w kocioł zahoryzontalny, bo wtedy w ogóle nie mają szans nas namierzyć.

– Więc?

– Więc maszerujemy na wschód. Będziemy bliżej naszych, a dalej od czarnych. Może kogoś spotkamy. Może ktoś nas namierzy. Oczywiście, o ile wschód ciągle jeszcze jest na wschodzie.

– Nie rozumiem.

– Na granicach horyzontów zdarzeń tworzą się iluzje, fatamorgany. Przecież to przestrzeń ściera się ze sobą, załamuje, dzieli. Widziałem już kawałki polskiej puszczy, gdzie równocześnie wschodzą trzy słońca.

– Więc może jednak poczekajmy?

– To w żaden sposób nie poprawi naszej sytuacji. Być może nic strasznego się nie stało i słońeczko nadal wschodzi tam gdzie trzeba, a my jedziemy w dobrą stronę.

– Rozumiem. Zrobimy, jak mówisz. – Zwolniła, czekając, aż dogoni ją koń wiozący Omara. Kajetan odprowadził ją wzrokiem. Spojrzał na Domicjana.

Elf siedział w siodle w milczeniu, chyba niespecjalnie przysłuchując się rozmowie. Jego całą uwagę pochłaniała obserwacja sokoła. Ptak znów wzbił się w powietrze, choć nadal nie chciał wznieść się ponad drzewa. Jednak i to ożywienie ulubieńca sprawiło Domicjanowi wyraźną przyjemność. Rycerz Zakonu Łabędzia w ogóle odzywał się mało. Wykonywał polecenia elfki, sam brał się za różne prace i non stop każdym ruchem dawał do zrozumienia całemu światu, że jeśli ktoś lub coś zechce zrobić krzywdę Annie Naa'Maar, to najpierw będzie musiało zabić jego. Na szczęście sosnowy las wokół nie wydawał się groźny.

Tego przedpołudnia z Anną Naa'Maar rozmawiali jeszcze kilka razy.

– Jak to możliwe, że wcześniej cię nigdy nie spotkałem?

– Bo mnie tu nie było, to chyba proste.

– Ale ja nigdy nawet nie słyszałem o Zakonie Łabędzia! A dużo wiem o elfach. W ogóle dużo wiem.

– Nie przejmuj się, nie jesteś jedynym zaskoczonym. Nas po prostu jest bardzo mało. Na Ziemię przybyło tylko trzech mistrzów, w Polsce ja jestem pierwsza.

Tylko trzech. No tak, to wiele tłumaczyło. Zapewne tacy jak ona pracowali przy najtajniejszych projektach. Brali udział w przesłuchiowaniu najważniejszych jeńców, kto wie, może i samych barlogów. Czemu zatem wysłali ją w tak niebezpieczne miejsce? Czemu pozwolili, by osobiście transportowała grafa? Czyżby był tak potężny, a informacje od niego tak istotne? To tylko potwierdzało wszystko, co mówił Urlich i młodzi, spotkani na szlaku żołnierze. Nadchodziła nowa wojna.

– Od dawna jesteś na Ziemi?

– Dwa lata. Dwa lata, trzy miesiące i czternaście dni.

– Świetnie mówisz po polsku, bez żadnego akcentu.

– Zaczęłam się przygotowywać dużo wcześniej.

Odwróciła głowę, popatrzyła przed siebie.

– Tęsknisz?

– Za miejscem? Nie.

– To za czym?

– Czy któryś elf kiedykolwiek odpowiedział ci na takie pytanie?

– Na trzeźwo nie. – Uśmiechnął się.

– Czy któryś elf kiedykolwiek upił się w twoim towarzystwie?

– Też nie, rzecz jasna. I na tym chyba polega wasz problem. Czasem powinniście się upić. Tak po chamsku, po prostu. No ale to nie po elfiemu...

– Nie po elficku – poprawiła go. – Ty powinienes podszkolić swój polski.

– Wiesz, wychowałem się na wsi.

W odpowiedzi kiwnęła głową i znów na niego spojrzała.

– Wiem. Jesteś sławny, wiesz?

– Wiem.

Konie stapały cicho i spokojnie. Pod kopytami miały miękki mech, wokół brązowe pnie wysokich sosen. Ten las posadził niegdyś człowiek, bo drzewa stały w regularnych odstępach, wysokie, co najmniej

sześćdziesięcioletnie. Nie było tu większych chaszczki, a młode sosnowe siewki nie miały szans w konkurencji ze swymi rodzicielami, których korony skutecznie odcinały dostęp słonecznego światła. Idealny las do podróży. Aż za idealny, zauważył wcześniej Kajetan.

– No i jak ci się tu u nas podoba?

– Naprawdę chcesz wiedzieć?

– Skoro pytam.

– No to wyobraź sobie, że nagle ktoś zakłada ci na oczy ciemne okulary, w uszy wpycha wate, na dłonie każe założyć rękawiczki. I że zapada właśnie mrok, który wygasza naturalne kolory, i że tuż obok stoi gigantyczny dworzec kolejowy z jego kakofonią trzasków, wizgów i zgrzytów. Tak właśnie czuję się na Ziemi. Straciłam barwy, zapachy i dźwięki. Żyję w ciemnej piwnicy, a w mieszkaniu nade mną ktoś zbudował tartak.

– Nie mam więcej pytań.

– Żartowałam. Nie jest tak strasznie.

– A coś ci się tutaj podoba?

– Kilka obrazów. Rzeźby ze starożytnej Grecji. Pisanki.

– Czytałaś coś?

– Platona, Kanta i Biblię. No i kodeksy karne, oczywiście. Aha, czytałam też „Władcę Pierścieni”.

Anna Naa’Maar roześmiała się, po raz pierwszy w jego obecności. Wiele ładnych kobiet nigdy nie powinno się śmiać, bo w jednej chwili tracą cały swój urok. Elfka z Zakonu Łabędzia do nich nie należała.

– No i?

– Bajki, oczywiście. Nic wspólnego z prawdą. Ale wszyscy uznajemy, że zrobiła nam naprawdę dobry pi’ar. Bez tej książki trudniej by wam było zaakceptować naszą obecność.

– Tylko mi nie mów, że Tolkien był waszym agentem wpływu.

– Tego nigdy nie powie ci żaden elf.

– Czyli był?! Zawsze wiedziałem...

Teraz pośmiali się trochę razem.

– Wiesz – powiedział Kajetan – nie mogłem zrozumieć w tej książce jednej rzeczy. Dlaczego elfy nigdy nie próbowały leczyć orków? Przecież to byli ich współbracia. Przekształceni, okaleczeni, zniewoleni, ale jednak potomkowie elfów. Mogli choćby zrobić jakiś eksperyment, na przykład wychowywać młode orki odebrane rodzicom. Po prostu badać, czy i jak można je przywrócić dobru?

– A można?

– Nie wiem. Być może nie. Ba, raczej na pewno nie. Ale należało spróbować. Podjąć ten eksperyment. A gdyby się udało?! Jakie to stwarza perspektywy! Wychowujesz dobrych orków, dajesz im nadzieję, wysyłasz z powrotem do dzikich pobratymców, by szerzyli dobrą nowinę, zakładali sekty, szykowali spisek, podważali morale, głosili klęskę Saurona. Jak to ci się... – Kajetan zamilkł, bo zobaczył, że Anna Naa’Maar znów spoważniała. Przypominała teraz tę groźną i szaloną elfkę, którą spotkał w Korniejewie, w czarnym lochu, stojącą naprzeciw potwora.

– To właśnie twoje zadanie... Prawda? – powiedział po chwili. – Ty ich przekształcasz. Zadajesz im ból, bo formujesz w nich inne uczucia. Cierpią, bo chcesz przeprowadzić ich na jasną stronę. Prawda? Ty to robisz?

– Nie – odpowiedziała spokojnie. – Ja ich nigdzie nie przeprowadzam. Ja po prostu zadaję im ból.

10.

Pierwszy usłyszał je Domicjan. Chwilę potem ożył azymulet Kajetana, a Anna Naa’Maar gwałtownie wyprostowała się w siodle. Wirniki helikopterów miały powietrze, zaszumił poruszony podmuchem las.

– Idą ze wschodu! Czyli trzymamy dobry kierunek! – Kajetan zatrzymał konia, zawrócił. Domicjan już uruchamiał komunikator. Umieszczony w łuku siodła głośniczek zatrzeszczał.

– Tu Łabędź! Tu Łabędź! SOS! Potrzebujemy pomocy. Pilne. Najwyższy priorytet! Tu Łabędź! Tu Łabędź! SOS! Potrzebujemy pomocy. Pilne. Najwyższy priorytet! – powtórzył, ale nie udało mu się złapać sygnału.

Wciąż nie widzieli helikopterów, lecz wydawało się, że cały czas się zbliżają, tyle że lecą w pewnej odległości, na północ od grupy wędrowców.

– Tu Łabędź! Tu Łabędź! SOS! Potrzebujemy pomocy. Pilne! – powtarzał Domicjan raz za razem, cały czas manipulując sensorami. W odpowiedzi słyszał tylko szum.

– Co się dzieje? – spytała elfka. – Czemu nas nie słyszą?

– Zapewne nie prowadzą nasłuchu albo są przeładowani informacjami z innych źródeł.

– Tu Łabędź! Tu Łabędź! SOS!

Teraz byli blisko. Właśnie ich mijali, dwa, może trzy kilometry na północ.

– Tu Łabędź! SOS!

– Chyba że jesteście w strefie zahoryzontalnej. Wtedy mogą być i sto kilometrów stąd, choć nam się wydaje, że lecą tuż koło nas. Fatamorgana.

Domicjan przestał nawoływać przez radio. Cicho tłumaczył coś siedzącemu na jego przedramieniu sokołowi. Ptak zastygł niby starożytna rzeźba, nawet nie mrugał. Wreszcie Domicjan wyrzucił ramię w górę, wykrzyczał jeszcze jeden rozkaz, którego Kajetan nie zrozumiał, i ptak pomknął ku wierzchołkom drzew. Jednocześnie Domicjan skulił się w siodle, zapadł, pochylił głowę, ukrył twarz w dłoniach. Anna Naa'Maar od razu podjechała, by go podtrzymać. Teraz część duszy elfa była w ptaku i przełamywała strach sokoła przed odłączeniem się od swego pana. To ona miała pokierować jego lotem.

Helikoptery oddalały się.

Czy sokół może je dogonić? – przemknęło przez głowę Kajetana. W realnej przestrzeni – zapewne nie. Ale też nie takie było zadanie ptaka. Miał przebić magiczne bariery oddzielające wędrowców od helikopterów, stworzyć eteryczny tunel, którym potem pomkną zwykłe elektromagnetyczne fale.

Czekali w bezruchu. Tak właśnie Kajetan zapamiętał tę scenę, jak kolorową trójwymiarową fotografię. Brązowe pnie sosen, tarantowaty koń dźwigający rannego Omara, skulony Domicjan i tuląca go do siebie Anna Naa'Maar w przybrudzonej już bieli. Zielone, iglaste korony drzew i prześwitujący pomiędzy nimi błękit nieba.

Minęło dziesięć sekund, a może minuta, a może kwadrans.

– Szósta Dywizja Desantowa, major Uchalski! Powtórz komunikat! – z głośnika dobiegł zagłuszony trzaskami, ale wyraźny głos. – Powtórz komunikat!

– Dobrze was słyszeć – powiedziała spokojnie Anna Naa'Maar. – Zakon Łabędzia, misja ściśle tajna. Przesyłam kody. Musicie nas stąd zabrać.

Wyciągnęła miecz z pochwy, przesunęła palcami po jelcu.

– Mam rozkazy! Na zachodzie ruszył front. Nie mogę się rozpraszać. Wezwę dla was pomoc!

– Proszę jeszcze raz odsłuchać sygnał – powiedziała elfka. – Musimy być natychmiast ewakuowani. Cztery osoby i konie. Mamy też rannego.

Major Uchalski nie odpowiedział od razu. Pewnie dekodował sygnaturę elfów i zastanawiał się, co powinien zrobić. Ale w końcu zdekodował i się zastanowił.

– Rozumiem, pani. Odłączam jedną maszynę od klucza. Dogodne miejsce do lądowania jest jakieś trzy kilometry na północny zachód od was. Musicie się trochę cofnąć. Przełączam was do nich.

– Dziękuję, panie majorze – powiedziała elfka.

Niemal w tym samym momencie Domicjan drgnął, a z nieba spadł szary kształt. Sokół wylądował na ramieniu elfa, lekko dziobnął go w ucho. Rycerz wyprostował się, otworzył oczy. Jeszcze przez chwilę były czarne jak oczy ptaka.

– No – rzucił Kajetan – chyba wreszcie szczęście się do nas uśmiechnęło.

Pomylił się.

Helikopterem, który odłączył się od klucza, dowodził kapitan Czaba Varga. Mówił po polsku dobrze, ale ze śladami obcego akcentu. W polskiej armii służyło wielu emigrantów – lub ich dzieci – z krajów zniszczonych bądź zajętych przez barlogów. Węgry, najeżdżane to przez koczowników ze wschodu, to przez regularne czarne wojsko z zachodu, broniły się dzielnie. Trzydzieści lat temu, w czasie ofensywy barlogów nazwanej potem Marszem Kadłubów, wydawało się jednak, że nic nie uratuje kraju. Do Polski dotarło wielu uchodźców. Większość z nich wróciła potem do cudownie obronionej ojczyzny, jednak niektórzy zadomowili się w Polsce i z nią związali dalszy los. Kapitan Varga mógł być dzieckiem takich emigrantów. A może po prostu przyjechał do Warszawy na szkolenie wojskowe i zdecydował się tu zostać. Uznał zapewne, że szybciej i skuteczniej pomści rzeź Budapesztu z czasów Marszu Kadłubów, gdy będzie latał na polskich śmigłowcach, a nie tłukł wojska czarnych na karpackim pogórzu.

Królestwa Polski i Węgier utrzymywały ściśle relacje dyplomatyczne i wojskowe. Obecnie wraz z Królestwem Czech i Moraw, Księstwem Rusi Kijowskiej i Unią Ugrofińsko-Bałtycką stanowiły trzon wolnego świata kontynentalnej Europy. Na zachodzie trwał niewzruszenie „lotniskowiec Brytania”, wciąż rządzony przez ludzkich królów. Dzielnie broniła się Andaluzja i Wolne Miasto Amsterdam. Reszta kontynentu należała do barlogów lub była zniszczona na skutek wojen. Na części tych ziem władza lokalne parlamenty lub władcy, niektóre ściśle współpracowały z aliantami, ale większość pogrążona była w chaosie, także geograficznym.

– Jesteśmy nad miejscem lądowania. To spora polana – zameldował kapitan Varga.

– Jak daleko?

– W linii prostej cztery kilometry trzysta metrów od was. Macie namierniki?

– Azymulet standardowy.

– Wysyłam sygnał naprowadzający. Potwierdźcie.

Chwilę potem Kajetan poczuł pulsowanie bransolety i zrozumiał, że jadą nieco zbyt na północ i że jeśli utrzymają tę trasę, to miną miejsce lądowania helikoptera.

– Potwierdzam łączność, koryguję trasę. – Odwrócił się do elfki i wskazał, że powinni nieco skrócić.

Kiwnęła głową na znak, że rozumie.

– Sprawnie władasz magią, geografie – powiedziała z wyraźnym uznaniem. – Oczywiście, powinnam się tego spodziewać, ale jednak mnie zaskoczyłeś.

– Mam nadzieję, że nie ostatni raz, pani. – Kajetan skłonił się w podziękę za komplement, nieco przesadnie, mocniej, niżby to nakazywała zwykła grzeczność. – Zapewne nie spotkałaś wcześniej człowieka, który by był w stanie korzystać z azymuletu?

– Na pewno nie w sprzęgu bezpośrednim.

– Ja potrafię. To nie znaczy, pani, że mogę sobie pozwolić na nonszalancję przy korzystaniu z magii. I dlatego, jeśli pozwolisz, zajmę się prowadzeniem was do helikoptera.

– Pozwalam, geografie. – Teraz ona skłoniła się nisko. Kajetan nie mógł wiedzieć, o czym myśli ta kobieta i jakie sprawy rozważa w swym umyśle, tocząc jednocześnie grzeczną konwersację, lecz fakt, że już wkrótce otrzymają pomoc, wyraźnie ją rozluźnił. A przynajmniej takie wrażenie sprawiała.

On natomiast powinien się skoncentrować. Płynący z azymuletu wprost do jego mózgu sygnał naprowadzający pozwalał mu bezbłędnie kierować konwojem w stronę helikoptera, ale i wymuszał skupienie.

Znów odezwał się kapitan Varga.

– Spuszczam zwiadowcę i zaraz siadamy.

– Mamy rannego i cztery konie, pamiętacie o tym?

– Możemy zabrać ludzi i sprzęt. Konie muszą zostać.

– Kapitanie Varga, czy na pewno takie rozkazy pan otrzymał?

Chwila ciszy.

– Nie mam miejsca. Jestem załadowany bronią i amunicją.

– Kapitanie Varga, więc wyładuje pan wszystko. I niech pan już zacznie to robić.

Znów cisza, a potem ciche: „Bazd meg”.

– Rozumiem. Lądujemy i robimy miejsce dla koni. Najwyżej nasi chłopcy w fortach nie dostaną amunicji.

Ale co tam, konie będą przewiezione.

– Kapitanie Varga, jeśli usłyszę jeszcze jeden komentarz tego rodzaju, złożę na pana raport.

Tym razem „bazd meg!” było głośniejsze i zostało powtórzone trzykrotnie.

– Przyjąłem. Będę gotowy na wasze przyjęcie.

– Dziękuję, kapitanie. Dotrzemy do was za jakieś dwadzieścia minut.

– Już nie mogę się doczekać.

Kajetan uśmiechnął się. Musiał przywołać pilota do porządku, ale jednocześnie go rozumiał. Kapitan Varga nie był chyba zbyt zadowolony z tego, że nie weźmie udziału w akcji bojowej na linii frontu, tylko będzie musiał transportować do Gorzowa nieznanych sobie osobników. Major Uchalski na pewno nie poinformował go, z kim będzie miał do czynienia. Prerogatywy Anny Naa’Maar były zbyt wysokiego poziomu, by mógł o nich powiadomić swojego podwładnego. Po prostu wydał rozkaz odłączenia od konwoju i zabrania na pokład pasażerów. Czy kapitanowi Vardze mogło się to wydawać ważniejsze niż dostarczenie amunicji walczącym oddziałom na zachodzie? Jasne, że nie.

Do celu mieli już mniej niż trzy kilometry. Musieli nieco skrócić, by ominąć niezbyt głęboki, acz stromy wykrot. Azymulet od razu zasygnalizował zboczenie ze szlaku i wewnętrzny kompas w głowie Kajetana odchylił się, wzbudzając uczucie lekkiego niepokoju, a jednocześnie wskazując właściwą trasę.

– Siedzimy – zameldował kapitan Varga – i czekamy.

– Jesteśmy już niedaleko. Droga bez przeszkód.

Kajetan pogłodził szyję wierzchowca.

– Chcieli, żebyśmy cię tu zostawili, bracie. Kawaleria powietrzna, w śmigło kopana. No, już niedługo sobie odpoczniesz.

– Kajetan... – usłyszał zza pleców głos Anny Naa’Maar. Po raz pierwszy zwróciła się do niego po imieniu.

Perspektywa szybkiego powrotu do domu i ją musiała wprawić w dobry humor.

– Słucham, pani? – Odwrócił się i w jednej chwili uśmiech znikł z jego twarzy. Anna Naa’Maar patrzyła na niego szeroko otwartymi oczami, jej wargi drżały.

– Co się stało? – Ruszył w kierunku elfki. Jednocześnie usłyszał jęk rannego Omara i pierwsze słowa ochronnej mantry wykrzykiwanej przez Domicjana. A potem i on poczuł ostrzegawczy impuls bransolety. Czarni.

– Wróg blisko! – natychmiast wznowił łączność z helikopterem.

– Przyjąłem! Walczycie?!

– Nie. Bądźcie gotowi!

Domicjan zajął miejsce elfki przy boku rannego Omara. Anna Naa'Maar odrzuciła na plecy okrywający ją płaszcz. Sięgnęła po miecz.

– Prowadź, geografie.

Ruszyli galopem.

Pierwsze strzały usłyszeli chwilę później. Terkotały pistolety maszynowe, waliły też działka śmigłowca.

Teraz Kajetan nie potrzebował już magicznego nasłuchu. Mógł prowadzić galopujące wierzchowce prosto ku helikopterowi.

– Są tu! – zacharczał głośnik. – Zabezpieczamy teren!

– Potrzebujemy dwóch minut!

– Czekamy!

Nagle Anna Naa'Maar krzyknęła:

– Startujcie! Natychmiast startujcie!

Pęd. Pnie drzew. Nisko zwieszono gałęzie. Smród czarnych.

– Nie podchodzą. Czekamy!

– Startujcie!

– To mój helikopter, pani, i dostałem rozkazy. Mam was stąd zabrać. I zabiorę.

– Kapitanie, nic nie rozumiesz, startuj natychmiast!

– Menj a picsaba! Czekamy! – krzyknął kapitan Varga, a potem usłyszeli jeszcze tylko: – O Boże!

Chwilę później puszcza wstrząsnęła eksplozja. Potem druga.

Kajetan wyhamował konia, obok zatrzymały się wierzchowce elfów. W oddali, pomiędzy drzewami, dostrzegli kulę ognia, w niebo buchnął dym. Drzewa drżały poruszone wybuchem. Ptaki krzyczały, obwieszając lasowi i jego mieszkańcom, że stało się coś strasznego i że nadchodzi ogień.

Konie nerwowo potrząsały głowami, kręciły się w miejscu, ledwie poddając się uspokajającym głosom elfów. Kajetan próbował nawiązać łączność, ale z komunikatora dobiegał jedynie jednostajny szum.

Potem usłyszeli jeszcze dwa strzały, ludzki krzyk pełen przerażenia i bólu. A potem zapadła cisza.

11.

Błądzili już od dwóch dni. Zmęczeni i niewyspani uciekali przed pogonią, o której wiedzieli tyle tylko, że na pewno jest. Ściagała ich mdła woń czarnych. Czasami ledwie ją wyczuwali, chwilami zaś uderzała w nozdrza ostrym smrodem. Wtedy próbowali poderwać zmęczone konie do szybszego biegu, a Domicjan zaczynał pleść czary fałszujące tropy i płaczące drogi. Zazwyczaj wtedy udawało im się zgubić prześladowców na kilka godzin, ale czary maskujące niosły swój koszt – dodatkową dezorientację, zaburzenie kierunków, niemożność oznaczania ścieżek, którymi już szli. Na dodatek zaczęli się kłócić już podczas pierwszego postoju.

– Oni czekali na nas! – Kajetan, pokrzykując na elfy, krążył wokół małego obozowiska niczym oszalała planetoida wokół Słońca. Domicjan i Anna Naa'Maar zmieniali właśnie opatrunek Omarowi. – Wylądowali, żeby nas uratować, czekali na nas, a my ich zostawiliśmy w niebezpieczeństwie!

– Oni zginęli! Wszyscy! – spokojnie odpowiedział Domicjan, jednocześnie oczyszczając ranę swego towarzysza.

– Nie wiesz tego! Skąd masz taką pewność?!

Anna podniosła się znad ciała, podeszła do Kajetana, lecz on nawet nie zwolnił. Minał elfkę i kontynuował swój obchód. Obserwowała go w milczeniu. Poczekala, aż zrobi pełną pętlę, po czym stanęła na jego drodze. Patrzyła mu prosto w oczy. Teraz się zatrzymał.

– Myślisz, że zostawiliśmy pilotów, bo są ludźmi, prawda? Uważasz, że uznaliśmy nasze życie za ważniejsze od ich życia? I nie chcieliśmy ryzykować? Przyznaj, tak uważasz.

– Nie... Tak... – zawahał się. – Nie chcę tak myśleć, ale nie odrzucam całkowicie tego poglądu.

Dopuszczam taką możliwość. To właśnie mnie wścieka.

– To posłuchaj mnie uważnie. Gdyby oni jeszcze żyli, gdyby żyli, być może powinniśmy spróbować im pomóc. Usłyszałeś wyraźnie: „Być może”. Nic o mnie nie wiesz. Nie znasz mojej misji. Nie rozumiesz, jaką cenę zapłacono, abym mogła znaleźć się w twoim świecie. Nie masz pojęcia, jakie umiejętności posiadam i jaką wiedzę dysponuję. I jak wiele od tego zależy. Więc, być może, nawet gdyby oni żyli, powinniśmy uciekać. Nie dlatego, że jestem elfem, tylko dlatego, że jestem tu bardzo, ale to bardzo potrzebna. Że żyję, by

ratować twój świat. Nie muszę ci tego wszystkiego tłumaczyć, lecz chcę. Chcę, żebyś zrozumiał. Oni nie mieli żadnych szans, zginęli wszyscy. A my umarlibyśmy razem z nimi.

– Skąd masz tę pewność? – Kajetan próbował jeszcze walczyć na argumenty, choć tak naprawdę wiedział już, że nie udowodni swoich racji. Nie wytrzymał jej spojrzenia, uciekł ze wzrokiem. Domicjan już się podniósł, stał teraz, uważnie obserwując rozmowę swej pani i człowieka. Wyglądał jak ktoś, kto z troską obserwuje kłótnię bliskich przyjaciół i nie zależy mu na tym, żeby któryś z nich wygrał, tylko żeby się porozumieli. Kajetan jednak nie miał wątpliwości, że gdyby tylko wykonał wobec elfki jeden wrogi gest, Domicjan rzucił się na niego bez chwili wahania.

– Bo to był on, graf – powiedziała Anna Naa'Maar powoli. – Tropi mnie i będzie to robił, dopóki mnie nie zabije.

– Czemu? Dlaczego, zamiast uciec do swoich, wszedł na niebezpieczną ziemię? Podobno to ważna figura. Rozpoczęli wojnę, by go odbić. A on idzie za tobą na wschód. Czemu, elfko?

– Bo go kocham, rozumiesz?

– Nie. Nie rozumiem.

– Moja miłość wypala jego ciało i zabija.

– Dalej nie rozumiem.

– Albo tylko to udajesz. Dobrze więc, wytłumaczę ci to, geografie, najprościej jak umiem. Jeden, ostatni raz. A potem zajmiemy się wspólnie tym, co konieczne, żebyśmy to wszystko przetrwali. Czy tak?

– Tak.

– Więc posłuchaj. Barlogi i grafy to nasi wrogowie. Walczymy z nimi w wielu planach, także w naszym ojczystym świecie. To wojna. Ale niech cię nie zmyli nauka, jaką wyciągasz z podręczników historii. Oni są wrogami nie dlatego, że pragną twojej ziemi, twoich bogactw czy wiedzy. Nie dlatego z nimi walczymy, że wyznają inną religię albo mają inne obyczaje lub inne gusta. Nie mówimy, że są źli, bo lubią inne niż my kolory, mają inne rytuały, światopogląd, prawo czy nawet porządek etyczny. Nie, geografie, oni po prostu są źli. Nie da się z nimi negocjować, nie można ich obłaskawić i nic nie pomoże wysłanie do nich misjonarzy – zawiesiła głos, popatrzyła na wiszący na szyi Kajetana Klucz Przejścia. – Ale ty przecież wiesz to wszystko, prawda?

– Kim był ten, którego przesłuchiwałaś? – w odpowiedzi sam zadał pytanie.

– To graf. Istota z ich świata, a nie przekształcony człowiek. Ważny graf. Wódz. Żeby wydobyć od niego informacje, musiałam zadać mu ból. Nie ból fizyczny, a cierpienie kompatybilne z jego sposobem postrzegania rzeczywistości. Więc – pokochałam go. Litowałam się nad nim i radowałam na jego widok. Mentalnie pieściłam i kołłam. Graf rejestrował moje uczucia. Wyżerały mu trzewia, degradowały umysł. I dopóki będę żyć i go kochać, on będzie cierpieć, naznaczony, wyklęty przez swych panów i służki. Więc mnie zapamiętał. Musi mnie zabić i na pewno chce zemsty.

Zamilkła, wciąż opanowana, jakby cała ta opowieść nie wywołała żadnych emocji.

– Ufasz mi? – zapytała po chwili. – Wierzysz, że nie opuściliśmy lotników tylko dlatego, że my jesteśmy elfami?

– Tak. – Kajetan już się uspokoił. – Ufam.

– No to pakujmy się i w drogę! – w końcu odezwał się Domicjan. – Mam też dobrą wiadomość. Omar się obudził.

12.

Obóz rozbili już w ciemnościach, kiedy natrafili na małe źródło. Jakiś czas szli jego biegiem, aż znaleźli polaną, od strony rzeki porośniętą bardzo gęstymi krzakami. Uznali, że dostaną w ten sposób osłonę przynajmniej z jednego kierunku. Kajetan oporządził konie na tyle starannie, na ile było to możliwe w tych warunkach. W tym czasie Domicjan i Anna Naa'Maar obeszlili teren wokół obozowiska w promieniu mniej więcej stu metrów. Szukali jakichś groźnych obiektów, śladów złej magii, ale też i sami rozwiesili na gałęziach drzew kilka amuletów i magicznych potykaczy. Od północnego wschodu byli względnie bezpieczni, osłaniały ich krzaki i asekurowała rzeczka, z której przekroczeniem miałby problemy graf. Jednak z pozostałych kierunków nie mogli liczyć na żadną ochronę.

Nie odważyli się więc rozpalic ogniska, na szczęście nie było chłodno. Mieli tylko jedno naczynie – termoaktywny kubek Kajetana. Pili kolejno. Po nabraniu wody wrzucali do niego kostkę odżywcza, a Domicjan podgrzewał kubek w dłoniach delikatnym muśnięciem magii. Gęsty bulion ładnie pachniał, nieźle smakował i – co najważniejsze – pozwalał zaspokoic głód.

– Od jutra musimy zmniejszyć racje – powiedział Kajetan po uważnym przejrzaniu zapasów. – Dobrze by było zapolować.

– Powinniśmy wzbudzać jak najmniej zamieszania w lesie.
 – Nie wiem, jak długa droga jeszcze przed nami. Moje zapasy mogą nam się przydać w naprawdę trudnym momencie.
 – A ta rzeka? – spytał Domicjan. – Nie rozpoznajesz jej?
 – Właśnie zamierzałem ją zbadać. Pójdiesz ze mną?
 – Chcę przygotować posłanie dla Omara.
 – Ja pójdę. – Anna Naa’Maar podniosła się z ziemi. – Ty widziałeś mnie przy pracy, teraz ja chcę zobaczyć ciebie, geografie.
 – To nic ciekawego. Będę pił surową wodę i mamrotał mantry.
 – A zwierciadło wodne?
 – Tak, może rzeka pokaże mi prawdziwy układ gwiazd na niebie nad nami. Ale ten rytuał nie uda się, jeśli mnie rozproszysz.
 – Nie rozproszę. – Uśmiechnęła się. – Zapomnisz o mojej obecności, geografie.
 – No, skoro tak... – powiedział Kajetan bez szczególnego przekonania, że ktokolwiek byłby w stanie zapomnieć o stojącej za plecami elfce. Ze swoich bagaży wyjął dzipiesowy zestaw – wahadełko z jarzębinowego drzewa zawieszane na srebrnym łańcuszku; małe kryształowe lustro, które chciał przeobrazić w wodne zwierciadło do obserwowania prawdziwego położenia gwiazd; trzy bursztynowe rezonatory; nakładkę na azymulet ze skóry wędrownych gęsi oraz mały licznik cieków wodnych, zwany potocznie różdżką.
 – Naprawdę nie masz pojęcia, gdzie jesteśmy? – spytał Domicjan.
 – Znałem tu kiedyś każdą piędź ziemi, ale użyli magii geograficznej. Lokalnie zmienili teren, zniszczyli stare znaki. Mój dzipies milczy. Nasze satelity nie zrobiły jeszcze nowych map tego terytorium. Najpewniej ten las w ogóle nie leży w ich horyzoncie zdarzeń. – Na chwilę przerwał przygotowania, podniósł wzrok na elfa. – Więc nie wiem.
 Skończył pakowanie, starannie podopinał sakwy.
 – Chodźmy, pani. – Wskazał elfce kierunek.
 – Bądźcie ostrożni – usłyszeli jeszcze za plecami głos Domicjana.
 – Dzięki za radę – mruknął Kajetan. – Właśnie zamierzałem zacząć wrzeszczeć. Albo kapać się w rzece na golasa.
 – Nie przepadasz za nim? – w głosie elfki pobrzmiwało raczej rozbawienie niż troska.
 – Nie mam powodu, żeby go nie lubić.
 – Ale w ogóle nie przepadasz za elfami.
 – Uratowaliście nas. Uratowaliście Polskę, Europę, Ziemię.
 – Tylko że nie całą... I nie wszystkich... O to ci chodzi?
 Kajetan nie odpowiedział, bo doszli właśnie do brzegu szerokiej na jakiś metr leśnej rzeki. Płynęła leniwie, czarna jak smoła, czasem tylko iskrzyły się w niej odbite gwiazdy, których blask zdołał się przedrzeć przez korony drzew. Coś plusnęło, zarechotały żaby. Kajetan zabił na twarzy zbyt natrętnego komara.
 – Jak możesz ich kochać? – Odwrócił się. – Jeśli są tak źli, jak możesz to robić? Przebaczać im?
 – Jesteś katolikiem, prawda? – zawiesiła pytanie.
 – Powiedzmy, że tak – odparł.
 – To tak jak ja. Nasza religia to nakazuje. Przebaczać. Miłować. Jezus też przebaczył grzesznikom.
 – Ale czy przebaczył szatanowi?
 Anna Naa’Maar przeżegnała się tylko, nie podjęła rozmowy.

13.

Ruszyli o świcie.

Omar, któremu szybko wracały siły, okazał się jeszcze mniej towarzyski od współplemieńców. W milczeniu kołysał się w swoim siodle-kołysce, czasem kreśląc na piersi zamaszty znak krzyża. Tylko jego usta poruszały się bezgłośnie. Może klepał mantry lecznicze, a może odmawiał modlitwy za poległych braci zakonnych.

Elfy wszystko robiły porządnie. Kiedy ustanowiły królestwo w Polsce, szybko przyjęły chrzest i zostały lepszymi katolikami niżli niejeden rodak wymachujący biało-żółtymi chorągiewkami i wywieszający w oknach święte obrazki.

Elfy poszczą w piątki, chowają po katolicku elfie dzieci i odbywają pielgrzymki do Częstochowy. Wiedzą, kiedy była bitwa pod Grunwaldem, kto to Traugutt i co oznacza data 18 listopada.

Elfy nie piją za dużo, raczej się nie awanturują, bardzo rzadko popełniają przestępstwa, są uprzejme, grzeczne i wykształcone. Porządni obywatele. To tak jakby zaczerpnąć wszystkich ludzi galaktycznym durszlakiem i pozwolić wyciec przez dziury wszelkim mętom, złodziejom, mężom bijącym żony (i odwrotnie), piratom drogowym, gnojkom wymazującym flamastry na siedzeniach autobusów, ćmulom tępo nie zainteresowanym światem. I tym podobnym niby *homo sapiens* płci obojga. Nie oznacza to, że żaden zły elf nie spłynie z kosmicznego sitka, ale będzie ich niewiele i nieszczególnie paskudnych.

Można powiedzieć, że elfy to tacy lepsi ludzie: trochę, zazwyczaj, statystycznie. Podstarzali harcerze, przy czym określenie „podstarzali” należy rozumieć: w wieku średnio stu pięćdziesięciu lat.

Niektórzy mistycy uważali, że były aniołami, które przybrały postać popkulturowych ikon, żeby zostać przyjęte przez zlaicyzowane społeczeństwa Zachodu. Inni, bardziej ekumeniczni osobnicy, że chodziło o tolerancję i uniwersalizm. Elfa mogą wszak zaakceptować wyznawcy różnych religii i przedstawiciele kultur całego świata, a chrześcijańskiego anioła niekoniecznie. Przecież na Ziemi więcej ludzi czytało Tolkiena niż Biblię.

Rzecz jasna, byli też i tacy, którzy mieli w tej kwestii pogląd całkowicie przeciwny – elfy to demony, sługi szatana, które pod pozorem pomocy chcą przejąć władzę nad światem. Z kolei dla socjalistycznych narodowców niedopuszczalne było przywrócenie w Polsce monarchii, i to przez obcą rasę. „Polska dla Polaków!” – darli się na demonstracjach. „Precz z elfami!” A za symbol wzięli sobie zikonizowane twarze Lenina, Hitlera i Che Guevary, nad którymi unosiło się oko Saurona.

Pojawiały się też sekty i organizacje pozostające pod wpływem barlogów. Wyznawcy. Renegaci. Zdrajcy. Terrorysty. Agenci wpływu. Czasem – autentyczni wysłannicy czarnych.

Przybrany ojciec Kajetana zajmował się rozpracowywaniem takich grup i ich eliminacją. Tam, daleko, w Warszawie.

Tu trwa inna walka. Wojna o geografę. Magia wojenna próbuje stabilizować przestrzeń na granicy z dawnymi Niemcami. Kotwicz ją – menhirami, kamiennymi kręgami, trylitami. Świętymi dębami zakorzenia geografę w ziemi, nie pozwala jej drgnąć. Dolmenami poległych bohaterów nasąca pogranicze mocą. Wydiera zdrową przestrzeń barlogom, odzyskuje Polskę i to, co zostało z Europy, kawałek po kawałku. Ale nie zawsze to się udaje i wtedy ścieżki się gubią, rzeki zmieniają bieg, a gwiazdozbiory tworzą fatamorgany.

Ale geograf jest od tego, by znajdować właściwe szlaki.

Ledwie minęło południe, gdy Kajetan pomiędzy drzewami dostrzegł to, czego szukał od kilku dni. Kotwicę topograficzną – dwanaście kamiennych bloków wysokich na dwa metry, ustawionych wzdłuż nieistniejącej ścieżki, wymalowanych w biało-czerwone znaki i z mosiężnymi tabliczkami znamionowymi.

Mały orszak zatrzymał się, a Kajetan, wciąż czując pulsowanie azymuletu, powiedział:

– Wydostaliśmy się z pętli geomancyjnej! Ten alignment wskazuje drogę na wschód. Musimy tylko przez niego przejechać.

Domicjan i Anna Naa’Maar nawet się nie uśmiechnęli, a Omar, tym razem na głos, zaczął odmawiać różaniec.

14.

Leśny trakt łagodnym łukiem wspinał się na niewysokie wzniesienie. Prowadził na wschód, nieco tylko odbijając ku południu. Był wystarczająco szeroki, by dwa konie mogły jechać obok siebie, a ich jeźdźcy zbyt często nie musieli schylać głów pod niskimi gałęziami.

Kajetan spojrzął na kompas, podniósł rękę z azymuletem, uważnie przyglądał się lasowi. W końcu zsiadł z konia i ukląkł. Dłońmi zaczął odgarniać suche liście i igły leżące na ścieżce. Wreszcie podniósł szczytę brązowej ziemi. Obejrzał ją dokładnie, powąchał. Z uśmiechem odwrócił się ku elfom:

– To leśny szlak z Kozodojnic. Wieśniacy wożą nim torf... – A ponieważ z twarzy swych towarzyszy nie wyczytał oznak pełnego zrozumienia, dodał szybko: – Torf. Do ogrzewania domów zimą. Od torfowiska jest ze wsi kilkanaście kilometrów. Nie wiem dokładnie, w którym punkcie wyszliśmy, ale przed wieczorem dotrzemy do wioski, to pewne. A stamtąd będzie już blisko do Gorzowa.

Domicjan spróbował złapać łączność radiową, ale z głośnika dobiegał tylko szum i trzaski.

– Mamy za słaby nadajnik, baterie ledwo zipią – powiedział zrezygnowany po kilku minutach.

– Na dodatek jesteśmy w dolinie pomiędzy wzgórzami – dodał Kajetan. – Nie wyładuj baterii. Droga się wznosi, może ze szczytu będzie łatwiej?

Jednak szlak omijał wzgórza, szedł po krawędzi stoku. To było raczej logiczne, zważywszy, że jeździły nim ciągnięte przez ludzi lub woły wózki załadowane torfem. Wieśniacy woleli nadłożyć trochę drogi, niżli wdrapywać się pod górę.

Kajetan zwolnił, poczekał, aż minie go koń Omara, i zrównał się z Anną Naa’Maar.

– Może zatrzymajmy się tu na kilka minut. Ty, pani, zostaniesz z końmi i Omarem, a ja z Domicjanem wdrapiemy się na czubek. – Wskazał ręką las po prawej stronie ścieżki. – Może stamtąd złapiemy łączność? Elfka odwróciła się, pytająco spojrzała na swojego ochroniarza.

– Konie nie wejdą pod tę górę – powiedział Omar po chwili namysłu i obserwacji zbocza. – A nam zajmie to najwyżej parę minut. Gdybyśmy wezwali pomoc, helikoptery z Gorzowa będą tu za pół godziny. Warto zaryzykować.

– Dobrze, tylko zeskanujcie najpierw teren.

– Jesteśmy już w Polsce – powiedział Kajetan. – On na pewno zrezygnował. Nie dostanie tu żadnego magicznego wsparcia...

– Zeskanujecie teren, zanim odejdziecie – przerwała mu Anna Naa'Maar.

– Dobrze, dobrze... – mruknął mężczyzna. Jego azymulet nie zgłaszał żadnego zagrożenia, ba, wskazywał nawet, że w pobliżu znajduje się jakieś źródło wspierającej siły. – Nie zatrzymujmy się tutaj, podjedźmy jeszcze kawałek – powiedział, ale nawet nie musiał niczego tłumaczyć elfom, bo oto zobaczyli małe rozwidlenie leśnego traktu. Druga ścieżka, niemal prostopadła do pierwszej, prowadziła w dół zbocza, na zachód. Zaś na rosnącym obok rozwidlenia drzewie powieszono małą drewnianą kapliczkę z umieszczonym wewnątrz, a wystruganym najwyraźniej przez domorosłego ludowego artystę świątkiem. Kapliczka wisiała na wysokości metra, drewno poczerniało i popękało. Ślad farby ocalał jedynie na twarzy Chrystusa stojącego w jej środku z szeroko rozwartymi ramionami. Ręce nie były równej długości, oczy i usta namalowano nieproporcjonalnie duże, a wystająca spod szaty lewa stopa już się ułamała. Ale jednonogi i wielkooki Jezus wciąż musiał cieszyć się u wieśniaków wielką atencją – w kapliczce leżał bukiet leśnych kwiatów przyniesiony nie dawniej niż kilka dni temu. Pod drzewem wkopano w ziemię kilka kamieni, teraz upstrzonych stearynowymi plamami. Dwa kroki obok stała ławka, równie stara i powykrzywiana co sama kapliczka.

Zatrzymali się na rozstaju. Anna Naa'Maar i Domicjan zsiadli z koni, przyklękli i przeżegnali się.

– To nie może być przypadek – uśmiechnęła się elfka. – Tu możemy zostać. Idźcie i wracajcie szybko.

– W porządku. – Kajetan przeprowadził konia nieco dalej, gdzie na poboczu ścieżki rośla gęsta zielona trawa. Poklepał go po głowie, przejechał dłonią wzdłuż szyi. Przywiązał wodze do pnia młodej brzozy, tak żeby wierzchowiec mógł wykorzystać wolne chwile na poskubanie świeżych kąsków. Przepiął kaburę peemu z olstra przy siodle do pasa, w rękę wziął bukłak z wodą.

– Gotowy? – Odwrócił się w stronę Domicjana.

Właśnie w tym momencie poczuł smród grafa, tak intensywny, jakiego nie było nawet przy zniszczonym helikopterze kapitana Vargi. A potem wydarzyło się wiele rzeczy naraz.

Anna Naa'Maar krzyknęła ostrzegawczo, a w jej głosie był i strach, i radość z długo oczekiwanego spotkania. Domicjan gardłowym głosem wyrzucił z siebie serię bojowych zaklęć w elfim języku. Z jego ramienia wystartował sokół, już w locie zmieniający się w czerwono krwisty piorun. Omar poderwał się na swoim siedzisku, sięgając po broń i wykrzykując obronne mantry. Drewniana kapliczka i stojący w jej wnętrzu Chrystus rozjarzyły się pomarańczowym blaskiem trawiącego drewno od środka żaru i rozpadły na proch.

Spomiędzy drzew na drogę, którą właśnie przejechali, wypełził graf, od razu rozwijając swą bojową formę.

Wyglądał niczym olbrzymi, tłusty człowiek, na którym ktoś rozpiął sieć o regularnych kwadratowych oczach. Jej sine żyły wpijały się w miękkie ciało, które pulsowało, wybrzuszało się, czasem otwierając mięsiste gardziele, w innych miejscach wystrzeliwując cuchnącą ropę. Grube, porośnięte futrem nogi otaczała mgła fagów, formujących się już w zębate pyski i w pająko kształtnych enpisowych wojowników. Wielopalczaste dłonie kreśliły w powietrzu znaki kondensujące moc. Graf nie miał szyi, głowa wyrastała bezpośrednio z barków. Była niemal idealnie kulista, jak odwrócone akwarium, i tak jak ono przezroczysta. W środku tej czaszki pływały zgęstki wielu oczu, mózg, gonady i wszczepy nanokadabrowe. Graf nie miał ust, energię życiową czerpał z esencji zabijanych istot, a wchłaniał ją czterema skrzydło podobnymi bateriami. Teraz rozwinął je ledwie w połowie, dygotały za jego plecami, mieniając się barwnymi wzorami – te znaki i rytm pracy skrzydeł wytwarzały fale mocy, kierujące formowaniem bojowych enpisów i siejące fagami trwogi.

Graf miał dwa i pół metra wzrostu. Cuchnął. Jego okrzyk bojowy był jak zwielokrotniony tysiąckroć trzask łamanej gałęzi.

Zaatakował. Skoczył ku elfom w kuli sinego blasku chroniącej przed strzałami i magią. Za nim zaczęły płonąć drzewa, przed nim formowały się bojowe enpisy. Przyjmowały kształty mureno podobnych ryb o podwójnych paszczach, wielkich pajaków plujących zatrutymi nićmi, kul podobnych do kłębków wełny złożonych z żył, mięśni i zębów. To był potężny graf, potrafiący ze swych fagów formować naraz różnych pomocników. Ale najgroźniejszy atak przypuścił na umysły swych przeciwników.

Kajetan najpierw poczuł znużenie i senność, a potem otepienie zniechęcające do wszelkiego działania, poddające ciało wyrokowi losu. Gdzieś w głębi jego umysłu rozjarzyły się wspomnienia złych uczynków, które popełnił, zaznanych klęsk, poniesionych strat. Złe myśli pęczniały, rozlewały się na cały umysł, paraliżowały. Nagle znów wróciła ta chwila, gdy zobaczył martwą siostrę, gdy zrozumiał, że jej nie upiłnował, że sam wydał w ręce wroga.

„Zabiłeś ją” – szeptał jego umysł. „Sprrowadziłeś jej mordercę. To ty jesteś winien. Jesteś zły. Zły, zły, zły...”

Zapewne gdyby Kajetan sam stanął naprzeciw grafa, uległby. Jego ochronne zaklęcia zostałyby ostatecznie przełamane, a umysł poddał się destrukcji. Tu jednak graf musiał walczyć z wieloma przeciwnikami, skierować ostrza swej mocy ku innym celom. Atak zelżał i ta chwila wystarczyła, by Kajetan odzyskał władzę nad sobą. A może pomogła też iskra, która zapłonęła na moment w jego myślach. W tym błysku było wspomnienie matki, szorstki, ale przyjacielski uścisk dłoni przybranego ojca, kilka nut preludium e-moll Chopina, blask witraży warszawskiej katedry elfów, błękit oczu Anny Naa'Maar.

„To nie ty ją zabiłeś, geografie. Ona wcale nie zginęła i może w końcu ją znajdziesz” – mówił inny głos. „Jesteś dobry!”

Kajetan otrząsnął się. Jednym spojrzeniem ogarnął pole walki. Zobaczył, jak Domicjan tnie mieczem enpisy grafa. Z ostrza broni elfa unosiły się bojowe zmory przyjmujące kształty wielorękich centaurów. Natychmiast po uformowaniu rzucały się na enpisy, zwierzały z nimi w niszczącym uścisku, zamieniały w kłęb wirującej mgły, która po zneutralizowaniu wrogiej mocy rozwiewała się bez śladu.

Walczył też Omar, wychylony ze swego siodła, starał się osłaniać prawy bok Domicjana. Sam generował mniej mocy, ale skutecznie powstrzymywał te enpisy wroga, które przedarły się przez zaporę. Lewego boku swego pana strzegł sokół, miotający się niczym czerwona błyskawica, uderzający wroga, odskakujący tak szybko, że jego kształty rozmywały się, albo nawet rozdzielały. Chwilami wyglądało to tak, jakby walczyło kilka ptaków.

Sama Anna Naa'Maar stała za plecami swoich obrońców. Wzniosła miecz i wykrzykując słowa mantr bojowych, krzesłała z jego ostrza magicznych pomocników.

Naprzeciw, ukryty za mgłą nanokadabr i ciałami swych sług, stał graf. I on tłoczył w przestrzeń magię, a jego opięte siną siecią żył ciało pulsowało rytmicznie. Kilkakrotnie bojowe zmory elfów docierały do niego, raniły, ale graf zdawał się tym nie przejmować. Opędzał się tylko od nich jak od natrętnych owadów. Jego dłonie nie roztrzaskiwały ich ani nie odrzucały na boki, tylko rozpraszały niby obłoczki dymu.

Tylko czasem, gdy spojrzeniu Anny Naa'Maar udawało się przedrzeć przez zasłony, które postawił, gdy musnęła go wzrokiem niczym promieniem latarki – wtedy dygotał nagle, wtedy otwierały się spazmatycznie gardziele na jego skórze, wtedy mętniał płyn w czaszce, a gonady rozpałały się mdłym blaskiem.

To wszystko zobaczyłby Kajetan, gdyby miał czas na spokojne oglądanie bitwy. Nie miał.

Zeskoczył z konia, wyszarpując jednocześnie swój peem i miecz. W dwóch skokach znalazł się na linii walki. Władował serię w najbliższego enpisa, ciął przez zębaty pysk drugiego, jednocześnie czarami bojowymi próbując utkać wokół siebie sieć ochronną. Zaczepił ją o pień przydrożnego buka, z drugiej strony o pole obronne Omara, napiął mentalnie, sprawdził rezonans. Teraz mógł nie obawiać się pomniejszych tworów grafa. Skupił się zatem na największych, tłukąc do nich krótkimi seriami, tnąc mieczem, pętając tą bojową magią, którą jako człowiek był w stanie wygenerować.

Zaskoczył grafa. Sługa barlogów zwinął swój atak, odstąpił pola, a w powstałą lukę natychmiast wskoczył Domicjan. Elf ciął potężnego enpisa, znów ruszył do przodu tak, że brzeg jego magicznej tarczy naparł na pole nanokadabr grafa. Zaiskrzyło, wyładowania mocy były tak potężne, że wiele okolicznych drzew zważyło się, w jednej chwili spróchniały i zgniły od środka. Ostrze świsnęło tuż przed głową grafa, kolejny cios przeorał jego ramię, rozcinając oko sieci. Kajetan skoczył z drugiej strony, waląc bez przerwy z peemu w osłabione miejsce. Graf zaskowyczał, cofnął się, machnął rękami, jakby rozpaczliwie próbował się ochronić przed kulami. Domicjan postanowił go dobić. Runął w pustą przestrzeń, z której graf wycofał swoje nanokadabry, wziął potężny zamach, by rozłupać czaszkę przeciwnika.

Popełnił błąd.

Graf bowiem sprężył się, a jego baterie mocy przyspieszyły rytm drgań i zmiany kolorów. Wyciągnął ramiona, z których wyrosły nagle blade ostrza. Potężne wyładowanie przeszło przestrzeń, uderzając Domicjana prosto w twarz. Elf zachwiał się, oślepił na chwilę. W tym momencie graf skoczył w jego stronę i jednym ciosem przebił na wylot.

Domicjan nawet nie jęknął. Zadygotał tylko, a potem opadł na pierś wroga niczym opuszczona pacynka. Graf warknął tryumfalnie, potężnym uściskiem ramion zmiażdżył elfa.

Anna Naa'Maar krzyknęła z bólu. W tym samym momencie sokół znów zmaterializował się w swej zwykłej ptasiej postaci, by od razu jak kawał martwego mięsa spaść na ziemię. Bojowe zmory Domicjana zniknęły.

Graf, wraz ze swoimi enpissami, skoczył ku elfce. Potężnym uderzeniem odtrącił próbującego zastąpić mu drogę Omara. Nie sprawdził nawet, czy go zabił, czy tylko ogłuszył. Tak jak kwiat obraca się do słońca w poszukiwaniu energii życia, tak on wycelował w swoje źródło blasku po to – by je zgasić.

Anna Naa'Maar rozpostarła przed sobą ochronne bariery. I choć była potężną elfką, władającą wielką magią i szkoloną do pętania potworów – nie dałaby rady. Przeciwnika napędzał ból, nieznane cierpienie, przerażające światło opłukujące jego jaźń z siły. Ta elfka, biała i gorejąca, słała ku niemu falę magii, z jaką się wcześniej nie zetknął. Musiał ją zabić. Zmiażdżyć. Poniżyć.

Czaszka grafa rozbłysła, żyły oplatające ciało nabrały barwy krwi. Skrzydła baterii rozłożyły się maksymalnie, pulsując barwami śmierci, jedzenia i kopulacji. Graf przedarł się przez ochronne bariery, chwycił przedramię Anny Naa'Maar, powstrzymał przed kreśleniem ochronnych znaków.

Znów zawarczał peem Kajetana, ale kule rozpływały się na nanokadabrowej zbroi. Stwór trzymał już elfkę za obie ręce. Pochylił się ku niej, przysuwając swą czaszkę do jej twarzy. Światłoczułe zgęstki we wnętrzu ułożyły się w rytualne wzory, gonady pulsowały, skrzydła to otwierały się, to zamykały.

Kajetan przestał strzelać. Próbował pchnąć grafa mieczem, ale ten jednym gestem mocy szarpnął ciałem męzczyzny, cisnął go na ziemię, zmiażdżył piersi, pozbawił oddechu. Kajetan znów poczuł w sobie obecność obcego umysłu, jego gnijący gniew i głód zadawania śmierci. Potem pojawiła się jeszcze chwila czegoś na kształt zaciekawienia, gdy graf odkrył wiszący na szyi Kajetana Klucz Przejścia. Ale nie było to zadziwienie odnalezieniem czegoś interesującego, a raczej wściekłość, że tak długo trwało poszukiwanie tego cennego przedmiotu, i satysfakcja z działań, które za jego pomocą będzie można podjąć.

Przez mgnienie Kajetan odebrał te wszystkie uczucia, a raczej ślady echa prawdziwych, acz niepojętych dla człowieka emocji potwora. Zrozumiał, że umiera, że ogarnia go ciemność, lecz że tak naprawdę jego śmierć i krzywda jest niczym wobec tego, co zaraz spotka tu Annę Naa'Maar. Spróbował wierznąć, poderwać się, odzyskać władzę. Bez miecza, peemu, choćby kamienia skoczył jeszcze ku grafowi, rozcapierzając palce, wykrzykując jakieś fragmenty bojowych zaklęć.

Kolejny cios znów powalił go na ziemię. Upadł skulony w kłębek, niczym kot topiony w zbyt ciasnym worku. I gdy już myślał, że umiera, usłyszał:

– Kocham cię! Kocham cię i wybaczam ci to, co robisz!

Graf wrzasnął, a Kajetan otworzył oczy.

Stwór trzymał jeszcze elfkę, przygięty, niemal kładąc ją na ziemi, rozpinając barwne skrzydła. Wydawała się w jego rękach drobna i bezbronna, a jednak patrzyła wprost na skierowane na nią światłoczułe zgęstki pływające we wnętrzu czaszki.

– Kocham cię – powtórzyła i graf zaczął się rozpadać. Pożerał go od wewnątrz ogień, biały blask, rozkładający się czasem na tęczone barwy, czysty i jasny. Trawił ciało i skrzydła, przemykał po zewnętrznych żyłach, wpełzł do przezroczystej czaszki.

Graf zaskomlał jeszcze, ale inaczej niż poprzednio. Cicho. Miętko. I zniknął pożarty przez światło.

Tam gdzie jeszcze przed chwilą się znajdował, ziemia zmieniła się w czarny pył. Anna Naa'Maar klęczała nad tym pyłem, zanurzała w nim ręce, rozcierała go na twarzy.

I płakała, płakała, płakała...

15.

Śmigło helikoptera miało powietrze, poruszając okoliczne drzewa i zagłuszając pokrzykiwania uwijających się wokół ludzi. Ciało Domicjana już załadowano na pokład, teraz wnoszono do środka nosze z rannym Omarem. Życiu elfa nic nie groziło, ale czekała go długa rekonwalescencja.

Obok maszyny stały dwie metalowe, pomalowane w maskujące barwy skrzynie zabezpieczone przed otwarciem potężnymi szyframi. Kajetan zdołał zmieścić w nich wszystkie artefakty i rejestratory, które wcześniej wiozł do Gorzowa.

– Na pewno nie polecisz z nami, geografie? – spytała Anna Naa'Maar. Mówiła cicho, a jednak jej słów nie zdołał zagłuszyć szum wirników. – Powinieneś odpocząć.

– Nic mi nie jest. Muszę tam wrócić.

Podszedł do nich dowódca śmigłowca.

– Zaraz startujemy. Czas na pokład, pani.

– Jeszcze minuta, kapitanie.

– Pani, pospieszmy się. Wprawdzie sprawdziliśmy teren, ale skoro graf tu doszedł, to i inne...

– Kapitanie, proszę o jedną minutę.

– Tak, pani. – Pilot zasalutował. Już miał odejść, ale zawahał się. Wyciągnął rękę do Kajetana: – Powodzenia. Moja załoga... Powodzenia.

– Dziękuję, kapitanie – odpowiedział Kajetan. – Zaopiekuj się moim bagażem, proszę.

– Zostanie dostarczony zgodnie z instrukcją – pilot wymawiał słowa starannie, dając do zrozumienia, że jeśli tylko nie nastąpi koniec świata, on osobiście dotarga przesyłkę Kajetana tam gdzie trzeba. I to nie dlatego, że otrzymał takie rozkazy.

Pilot odszedł. Do helikoptera załadowano już bagaże, teraz z lasu wychodzili ostatni żołnierze osłony. Swój sprzęt spakowali też magochemicy oczyszczający teren skażony przez grafa i jego śmierć.

– Kajetan... – zaczęła Anna Naa'Maar, ale przerwał jej.

– Ty naprawdę kochałaś grafa. Wiesz, że ja cały czas, pomimo wszystkich znaków, myślałam, że to tylko gra, magia, metafora? Tymczasem ty go kochałaś i zabiłaś miłością. Nie zniósł twojego uczucia, wyprażyło jego czarną duszę, czy tak? To dlatego nawet elfy boją się ciebie.

Odstąpiła krok. Skrzyżowała ręce na piersiach, chwytając dłońmi ramiona.

– Tak. Dlatego. Dziękuję za wszystko. – Cofnęła się, ale Kajetan ruszył za nią.

– I dlatego nie zabiłaś go, kiedy wyrwał się z klatki. Oczywiście, był wtedy blisko swoich, na niestabilizowanym magicznie terenie, miał więcej siły i w ogóle nie wiadomo, czy dałabyś radę. Ale ty nawet nie spróbowałaś go zniszczyć.

– Miałam rozkaz dostarczenia go do Polski żywcem.

– Owszem, miałaś. Ale nie zabiłaś go wtedy, bo go kochałaś, czy tak? A to kosztowało życie kolejnych elfów i ludzi...

Nie odpowiedziała. Odwróciła się i ruszyła w stronę helikoptera. Kajetan patrzył, jak wzbudzone wirnikami powietrze rozwiewa jej włosy, szarpie zabrudzoną, białą niegdyś szatę. Pochyliła się, podbiegł do niej jeden z żołnierzy, podał ramię, pomógł wspiąć się na pokład.

Spojrzała na Kajetana i po chwili podniosła dłoń w pożegnalnym geście. Odpowiedział tym samym. Uśmiechnął się nawet, ale pewnie tego już nie zobaczyła.

Helikopter zakołysał się, a potem poderwał w niebo, znów wzburzając wierzchołki okolicznych drzew.

Kajetan poprawił paski plecaka, sprawdził ułożenie miecza i igłowca, przeżegnał się. Czekala go powrotna wędrówka na zachód. Mniej więcej trzydzieści kilometrów lasem, który być może został zainfekowany wrogą magią, a już na pewno poplątał dawne ścieżki. Co prawda załoga ratunkowego śmigłowca przyniosła dobre wieści – Korniejewo się obroniło i polska rubież obronna nie pękła – ale po ostatnich bitwach bez wątpienia po tym pustkowiu kręciły się jakieś niedobitki czarnych. Trudno.

Kajetan miał sprawę do załatwienia. Musiał odszukać zniszczony helikopter kapitana Vargi i pochować jego załogę. Żołnierzy, którzy zginęli, bo chcieli mu pomóc.

Zerknął na azymulet, jeszcze raz się przeżegnał i ruszył w drogę.

Las za jego plecami powoli się uspokajał.

Wysoko nad drzewami szybował czarny sokół, czasem przemieniający się w krwistoczerwony znak. A może się tak tylko Kajetanowi zdawało.